



**Artur Chabrowski**  
**Błysk i inne opowiadania**

ilustracja: Aleksander Józef Jakubowski

978-83-7853-446-4

## Błysk

Zanurzyłem się w bólu samotności, gdy świat objął nagły błysk. Za cholerę nie mogę się ruszyć. Nie dlatego, że mi się nie chce. Po prostu przyrosłem do tego miejsca, jak drzewo przyrasta korzeniami do gruntu. Można powiedzieć, że jestem ugruntowany. Przyrosłem do tego pokoju i nic nie zapowiada, że mógłbym się wyrwać. To przez ten Błysk.

Inni też pewnie przyrosli do swoich pokoi, wysyłając wiadomości, których na sto procent odbiorca nie zrozumie. Oczywiście oni o tym nie wiedzą i wysyłają dalej swoje wiadomości. Halo!, jest tam kto? – i jak zawsze nikt nie odpowiadał na ich wołania. Dlatego ja nie zamierzam się ośmieszać i dołączać do ich chóru.

Tak naprawdę to im się wydaje, że coś mówią. Z ich ust wydobywają się zwierzęce odgłosy. Całkiem możliwe, że ich wargi są jakby zeszyte, zrosnięte, ale nie do końca. Ponadto istnieje między nami połączenie podobne do telepatii. Usta zrosły się podczas wybuchu tego dziwnego Błysku, który objął cały świat, ale ja miałem je na tyle otwarte, żeby móc mówić.

Błysk nie był bombą, nie powodował strat, nie niszczył, tylko zmieniał świadomość ludzi. Zmieniając ich, dodając jakieś nowe aspekty, bądź odejmując.

Skąd ja to wszystko wiem? Myślę, że ten Błysk dodał mi czegoś do świadomości, dzięki czemu mam tę wiedzę. Moim najskrytszym marzeniem było mieć jak najwięcej wiedzy, nie tylko na tematy naukowe, ale także wiedzę innych ludzi. Dosłownie. Może dlatego jako jedyny nie miałem aż tak zasklepionych ust i mogłem wydawać z siebie w miarę ludzkie odgłosy.

Jednocześnie byłem w każdym z tych różnych ludzi i nie byłem. Świadomość zbiorowa egzystowała we mnie razem z moją świadomością. Nie

do końca normalną. Wiedza i niewiedza. Dualizm, który może zaprowadzić do przepaści. Wiedza, bo za dużo tego jest i nie ogarniasz tego, a niewiedza, bo nic cię z niej nie usprawiedliwia. Nieświadomość zagrożenia. I obie mogą cię pchnąć w tą przepaść, na którą cię przyprowadziły.

Jaźń i wszechjaźń, to nie tylko niebezpieczny duet dla mnie. To też zagrożenie dla innych. Co by się stało gdyby wszechjaźń by się wylewała? Ale... nie wyleje się, bo w końcu wszyscy jesteśmy połączeni niewidoczną siecią, która nie pozwalała, by cokolwiek się wylało. Nawet jeżeli na świecie wybuchła jaźniobomba.

Wybuch Błysku połączył mnie ze wszystkimi i wszyscy połączyli się ze mną. Cały świat był w polu jego rażenia. Wiem nawet jak doszło do tej sytuacji. Do wybuchu Błysku i tego wszystkiego. Zawiniła garść ludzi. Nie ważne jakiego byli wyznania, wszyscy mieli coś ze sobą wspólnego i to popchnęło ich do końca tego normalnego świata.

Chcieli przywołać Boga. I udało im się. Jednakże nie można było spojrzeć na Jego twarz, nie stając się zrośniętym. Czyli tak wygląda Bóg. Krótki błysk. W biblii ponoć jest napisane, że zwykły człowiek nie może zobaczyć Jego oblicza, bo umarłby. Myślę, że to jednak jest jakaś łaska. Ludzie zobaczyli Boga i nie umarli, stając się przyrośniętymi.

Jestem samotnym myślącym człowiekiem, więc to co opowiem będzie jak historia grana przez katarynkę. Bez przerwy nakręcana i odtwarzana. Bo ja tak zechcę. Tylko ja ogarniam to, co się działo, dzieje i będzie dziać. I nie jestem tu żadnym Bogiem, chociaż można odnieść takie wrażenie. Po prostu chciałbym, żeby to się odmieniło.

Oj, jak bardzo bym chciał znów czuć lekką bryzę, która rozwiewa moje włosy, gdy jadę na rowerze. Przeżyć znowu swoje życie od początku, nie popełniając tych samych błędów. Jestem pewien, że inni też tego chcą. Jak to jest śmiać się, będąc w takim stanie?

- Ha, ha, ha, ha. – śmieję się.

Śmiech. Dawno nie słyszany. Pusty. Pusty dlatego, że nikt mu nie wtóruje. Odzywało się tylko szczekanie w mojej głowie.

- Hau, hau, hau, hau.

Może gdzieś na świecie są tacy ludzie jak ja, którzy oparli się na tyle Błyskowi, że są w stanie samodzielnie myśleć. Jeżeli tak, to są oni przerażająco daleko, zagłuszani przez sforę psów. Mam nadzieję, że ci, którzy GO przywołali, będą w stanie bardziej podobnym do zwierząt, bo byłoby to niesprawiedliwe, gdyby umieli myśleć. Gdyby mieli taki sam pociąg do życia jak ja.

Jak powiedziałem w podstawówce do dziewczyny, w której się zakochałem?

- Czuję intercity do ciebie. – powiedziałem na głos.

Nie wiem czemu, ale mój głos sprawiał mi przyjemność. Szczególnie gdy wspominam swoje życie.

- Hau, hau, auuuuuuu... - odezwały się głosy w mojej głowie.

- Cicho! – krzyknąłem z całych sił. Zwierzęta, które kiedyś były ludźmi zamilkły. Może jeszcze coś tam rozumieją.

Przyszła noc. Zwierzęta zasnęły. Przynajmniej nie było tego ujadania. Ja jakoś nie mogłem zasnąć. Może to było w ten sposób spolaryzowane?

Myślę cały czas, myślę za innych. Jestem całodobową świadomością. W dzień gram na strunach zwierząt. Jak którą poruszę zaczynają szaleć jak w folwarku zwierzęcym. Tylko, że tam świnię powoli upodobniły się do ludzi, a tu raczej do tego nie dojdzie.

Jak nazwać stan umysłu, w którym się znajduję? Myślę, że „aktywny wypoczynek”, nadawałby się na to. „Sen na jawie”, też ciekawa nazwa...

...Urwał mi się film. Znowu był dzień. Jak długo nie myślałem? Z tego co czuję na ciele, mogę wywnioskować, że nie było mnie co najmniej kilka lat. Przez ten czas bardziej przyrosłem do podłogi. Korzenie stały się grubsze, a pleśń w budynku posunęła się do sufitu. Przedtem jej nie było. Jednak mogłem znowu myśleć.

Myśleć. Myśleć. Myśleć. Ciągle myśleć.

Tym razem wspominałem wakacje nad morzem. O dziwo, moje komórki, które przyrosły do podłoża, w pewien sposób odtwarzały to uczucie. Nie czułem się tak od początku mojego przyrośnięcia. Było wspaniale. Szkoda, że tylko ja mogłem to opisać słowami. Zwierzątka też odczuwały to co ja. Zewsząd do mojej głowy dochodziły pomruki zadowolenia.

Jednak ta przyjemność nie była taka sama, jak przyjemności w normalnym, dawnym świecie. Tam nie byłem samotny. Mogłem podzielić się przyjemnością z innymi ludźmi, czerpiąc z tego korzyści bardziej mentalne. Tutaj była tylko przyjemność cielesna.

Takie życie bez celu, bez możliwości śmierci. Ono mnie niebotycznie przeraża. Prawdę mówiąc zwierzęta też to odczuwały. One to czują, a ja o tym wiem. Mogę to określić słowami.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego nie mogę po prostu umrzeć?! Tak jak robili to ludzie przed nastaniem ciszy, w normalnym świecie.

- Dlaczego!!! – krzyknąłem.

- Auuuu, Hau, Auuuu. – odezwały się zwierzęta w mojej głowie.

Ta nieśmiertelność jest przekleństwem. Ona jest chora.

Zauważyłem, że mój umysł nie jest już w takiej formie, w jakim był te kilkanaście lat temu. Coraz szybciej męczę się myśląc. Może na tym polega wymieranie całej planety. Powolna śmierć w stanie ciągłej nieśmiertelności. Tak jak funkcja niewymierna, hiperbola. Ciągle docieranie do granicy

świadomości tych, którzy jeszcze myślą, funkcja opada, lecz bez możliwości dotarcia do celu jakim jest śmierć...

...Znowu urwał mi się film. Tym razem korzeniom udało się przebić beton. Wrastały coraz głębiej. Czułem jak powoli zbliżały się do korzeni innych zwierząt.

Przestraszyłem się tego. Boję się, że gdy połączę się z innymi, wtedy wyleje się jaźń i nie będę mógł myśleć. To było straszniejsze od braku śmierci.

Połączenie posuwało się znacznie szybciej niż to przewidziałem. Teraz czułem jak moje wyrosty czerpią energię z ziemi. Jak powoli oplatają się z innymi. Moja siła mentalna powoli osłabiała się. Słowa mi umykały. Myśli nie były już jasne jak kiedyś. Można powiedzieć, że się zestarzałem. Nastąpił pierwszy styk.

Ta osoba zawsze myślała tak jak ja. Tak naprawdę wszyscy potrzebowali tego połączenia. To była prawdziwa asymilacja. Wymieniłem się z nią wszystkim, kim byłem, a ona przyjęła to i oddała z nawiązką.

Komunikacja nie odbywała się na poziomie werbalnym. Widzieliśmy obrazy przeszłości, a także uczucia, które przybrały różne barwy. Było wspaniale. Jestem jednością, a im więcej było połączeń, tym bardziej stawałem się jednością...

...Po długim okresie asymilacji stałem się planetą. W sumie nie było tak źle, jak się obawiałem. Zauważyłem po pewnym czasie, że to gigantyczne drzewo, które pozwoliło się nam połączyć się ze sobą, wcale już nas nie chce. Powoli wychodzimy z drzew, tak jakbyśmy wychodzili z kokonów. Wszyscy nadzy i... młodzi.

Budynki, w których byliśmy, porosły zielenią. Mchy, porosty, powoje i inne rośliny wyrosły nie powstrzymywane przez ludzką interwencję i zakryły większą część planety.

Może to wszystko co przeszliśmy... Może na tym właśnie polega  
czyśćciec.



## Kłątwa

Wędrowiec zaglądnął do okna gospody. Postanowił, że tu przeczeka noc. Zwierzętom, które mu towarzyszyły, kazał przeczekać w lesie. Świetlika schował do klatki, żeby nikt go nie zobaczył. Wszedł i zakrzyknął do wszystkich.

- Karczmarz, wino dla wszystkich! Na mój koszt. – Od stołów wstali prawie wszyscy i choć zdziwieni – skąd taki obdartus może mieć złoto, zaczęli wiwatować na jego cześć. Karczmarz za bardzo nie dawał wiary, że obcy miał jakiegokolwiek pieniądze, ale jak zobaczył dwa mieszki, w których brzęczały monety, zaraz zaczął rozdawać wino wszelkim gościom na sali.

- Chciałbym wam opowiedzieć pewną historię. – Zaczął opowiadać, gdyż miał już w kieszeni wszystkich gości karczmy „Pod zielonym ruczajem” – Historię pewnego młodzieńca, który kiedyś był mną.

- Z chęcią wysłuchamy – odpowiedzieli wszyscy skuszeni darmowym pićciem.

Witold mieszkał we wsi zwanej Kładką. Nazwanej tak, gdyż tylko opuszczany most oddzielał mieszkańców od zakazanego lasu. W lesie żyły stwory, które bały się światła i wody. Pod kładką płynął szeroki i w miarę głęboki strumień, dzięki czemu stwory nie nękały ich w nocy. W dzień wieśniacy eksplorowali las, wycinając drzewa na rozbudowę Kładki oraz zbierali jagody i polowali na leśne zwierzęta.

Po skończonym dniu wszyscy schodzili się do wsi poprzez opuszczany most, który zwali kładką.

Pewnego razu kładka nie została wzniesiona. Leśne stwory przeszły przez nią, zarżnęły owce i zżarły surowe mięso. Do domostw też chciały się dostać, ale były pozamykane. Ludzie byli na święcie przesilenia wiosennego i

gromadzili się wokół kultowego pala, symbolizującego urodzaj. Plac świąteczny był oświetlony pochodniami, więc cienie nie mogąc znieść światła trzymały się z dala.

Nowy rok miał się zacząć od rzezi owiec. Na szczęście tylko owiec. Wieśniacy pobudowali pomieszczenia na zwierzęta hodowlane, dzięki czemu cienie nie mogły się do nich dostać.

Cienie nie były na tyle sprytne, żeby móc otworzyć drzwi. Rano nikt nie przyznał się do zostawienia kładki otwartej, ale od tego momentu nikt już nie zapominał wzniesć jej do góry. Witold był wtedy młody, a jego siostra była jeszcze w drodze.

Minęło kilka lat, a zakazany las nadal bronił swoich włości. Mieszkańcy wsi nie chcieli wchodzić w głąb lasu. Linia drzew wzdłuż strumyka została przetrzebiona przez drwali i zarosła ciernistymi krzewami. Kładka zbutwiała i dawno jej już nikt nie spuszczał. Las po wycince powoli się odradzał.

Witold wtedy miał szesnaście lat, a jego siostra dwanaście. Matka pytała się już szamanów jaka przyszłość będzie go czekała i jaką ma poślubić dziewczynę. Szamani jak zawsze, przynajmniej według Witolda, udzielali ogólnikowych odpowiedzi.

Matka strasznie się zmartwiła, kiedy dostała od nich odpowiedź. Na domiar złego kazali jej nic nie mówić swojemu synowi.

Tak bardzo się zmartwiła, że zamiast opiekować się gospodarstwem, zamknęła się w sobie i do nikogo się nie odzywała.

Ojciec przejął całe gospodarstwo. Niestety zapijał się z powodu małżonki i powoli doprowadzał do ruiny to, na co tak ciężko pracował. Witold robił co mógł, żeby coś włożyć do garnka sobie, siostrze i matce – bo ojciec chodził na innym głodzie. Chłopak pyskował do szamanów, lecz oni nie dawali mu odpowiedzi. Skryci za swoim namiotem, niedostępni dla nikogo oprócz tych,

których wybierali. Po jakimś czasie znowu zdarzyło się nieszczęście.

Przez wieś przechodziła wiedźma. Tak się złożyło, że siostra Witolda, Rena, doiła krowę. Zagadnęła Renę, by dała jej mleka, lecz ona odmówiła. Jej brat usłyszał odpowiedź wiedźmy.

- Od tego czasu będziesz spała snem nieprzerwanym – aż nie umrzesz. –

Myślał na początku, że to tylko zwykła złość albo szamańskie przechwałki, ale w ciągu kilku dni dziewczyna zaczęła popadać w dziwną obojętność, aż w końcu zasnęła.

Było tak jak mówiła jędza. Rena znalazła się w gorszym stanie niż ich matka, która przebudziła się z letargu i powiedziała Witoldowi, żeby zwrócił się do szamanów, bo to co się stało, zostało przepowiedziane dawno temu. Stał się cud – ojciec przestał pić. Razem z matką zajęli się gospodarką

Witold miał spytać o radę ludzi, których szczerze nienawidził.

Następnego dnia poszedł do szamanów. Może nie był wybrany, ale miał dla nich dar - mięso owcy.

- Hej – mam podarunek dla was – krzyknął w wieko namiotu. Chcę byście dali mi odpowiedź.

- Wejdz – powiedział jeden z nich. To co zobaczył zaskoczyło go. Było mianowicie trzech szamanów. Jeden miał przepaskę na oczach i był gruby i rozlazły. Drugi nie miał szczęki i języka. Był chudy jak patyk. Trzeci zaś nie miał uszu. Gdy zobaczył na sobie wzrok Witolda powiedział:

- Tak jestem głuchy.

- A ja ślepy, a ten co nie ma języka nie za bardzo może jeść.

- Razem stanowimy jedno. Powiedzieli ci co potrafili mówić, a trzeci przytaknął.

- Wiemy po co przybyłeś. – ciągnął ślepy. – Daj nam ofiarę.

Oddał im owcę. Wszyscy trzej rzucili się na owcę jak jastrząb na uciekającą mysz. Mięso zjedli na surowo, a ściekającą krew zgromadzili do małej dziury wykopanej w ziemi. Witoldowi zebrało się na wymioty, ale nie mógł nic zrobić, gdyż całe jego ciało zeszywniało. Nagle w czerwonej sadzawce zaczęły pojawiać się obrazy. Była tam jaskinia, a w jaskini siedziała na fotelu jakaś kobieta. Koło fotelu było ognisko, na którym smażyła się pieczeń. Pod ścianami były biblioteczki uginające się od książek. Był również stół alchemiczny, na którym kobieta mogła ważyć mikstury. Krew pokazała również tą czarownicę, kiedy rzucała klątwę oraz jego siostrę, jak powoli umiera.

- Twoja siostra zapadła w sen śmierci. Mamy dla ciebie radę:

Winna czy nie winna

Zapytaj siostry los.

Klątwa czarownicy silna

Zadała swój cios.

Może pomóc wieszczka

Co w jaskini mieszka

My nie jesteśmy w stanie

Wykonuj zadania dla niej.

-Gdzie to jest? Gdzie mogę ją znaleźć? - Witold wpadł w ekscytację.

-Jak myślisz synu? Jaskini szukaj w górach. Jest ścieżka. Ścieżka starych dębów. Gdy skierujesz się w góry musisz znaleźć dwa wielkie dęby na początku głębokiego wąwozu. Dalej znajdziesz drogę. - Powiedzieli jednym głosem i kazali mu wyjść.

Poszedł do domu po nóż myśliwski i łuk na wilki. Wziął trochę prowiantu i ruszył.

Po nie długim czasie, gdy wyszedł z wioski w kierunku, którym szamani go skierowali, znalazł dwa stare dęby, a za nimi wąwóz. Wąwóz na początku opadał na dół, ale później ścieżka zaczęła się piąć w górę i stawać się coraz bardziej skalista. Nagle usłyszał wycie wilków, dobiegający za nim. Ścieżka coraz bardziej pięła się do góry, wręcz zamieniła się w strome wzniesienie. Miał do wyboru – wspinać się tak szybko, żeby wilki go nie dopadły albo stanąć z nimi twarzą w twarz.

Przywódca stada zbliżał się jednak szybciej niż mógł się wspinać. Witold naciągnął cięciwę łuku i strzelił mu prosto między oczy. Wilk zginął na miejscu. Naciągnął drugą strzałę, lecz wataha już nie była taka pewna. Jeden z wilków rzucił się na niego, i gdy już miał zanurzyć kły w jego szyi, Witold wyciągnął nóż i ciął mu aortę. Wilki się wycofały. Już miał iść do góry, kiedy usłyszał ciche zawodzenie. Koło przywódcy stada skulił się mały wilczek.

Okazało się, że przywódcą stada jest samica. Wilczek powarkiwał na niego. Witold zbliżył się do niego i wyjął z torby mięso kurczaka. Gdy rzucił mu mięso, wilczek porwał je i z chęcią zjadł.

Witold powoli się od niego oddalił. Wszedł na urwisko, a tam znalazł się na małej polance obrośniętej drzewami. Ścieżka wiodła go prosto do jaskini. Schronił się tam przed deszczem i jak było w wizji znalazł wieszczkę. Pierwsze co usłyszał od niej to:

- Jak mogłeś?! Zostawiłeś małego wilczka samego w lesie! Nie powiem ci nic na temat twojej siostry dopóki go nie przyprowadzisz. Teraz! - Poczuł się jakby ktoś niewidzialny wypchnął go z jaskini.

Górka zamieniła się w wartki strumień. Rozejrzał się dookoła i znalazł korę drzewa z dębu. Postukał w nią i uznał, że się nada na to, by na niej

zjechać. W trakcie zjazdu rzucało go z jednej strony w drugą. Przy samym końcu kora zaczepiła się o kamień wystający z gruntu. Kora się rozpadła, a on poleciał twarzą w błoto. Strumień zmieniał się w coraz bardziej wartki potok, który na szczęście jeszcze nie zabrał wilczka, skamlającego przy ciele swojej matki.

Wilczek gdy go zobaczył zaczął warczeć. Bał się, że zabije i jego. Witold wyciągnął drugiego kurczaka i zaczął go oswajać. Przybliżał kurczaka do jego pyska, a on z głodu podchodził coraz bliżej. Witold go głaskał, a wilczek warczał, lecz po chwili się przyzwyczał. W końcu zjadł całego kurczaka.

Witold znalazł ścieżkę, której wcześniej nie zauważył, gdy był przybity do muru przez wilki. Nie pięła się do góry tylko okrążała wzniesienie. Wilczek zaczął za nim iść. Powoli wdrapywali się w górę, by w końcu zejść od tyłu na polanę. W końcu weszli do jaskini. Wilczek przyzwyczał się do nowego pana.

- Dobrze – pierwsze zadanie skończyłeś pozytywnie – choć z małym opóźnieniem. - Popatrzyła na wilczka. - Poczęstujcie się – Wskazała na smażone mięso nad rożnem.

Gdy deszcz przestał padać, Witold z wilczkiem położyli się spać. Obudziła go przed świtem.

- Mam dla ciebie zadanie. Wilk może zostać. Gdy wrócisz, będę miała dla ciebie prezent. Teraz jednak słuchaj. Masz przynieść mi jajo orła, który ma gniazdo na jednym z dwóch szczytów otaczających moją jaskinię. Pospiesz się! -

Znowu jakaś niewidzialna siła wypchnęła go z jaskini. Witolda czekała następna wspinaczka. Począł, aż słońce wysuszy stok i ruszył na szczyt, nad którym krążyło wielkie ptaszysko. Po mordędzie udało mu się dojść do gniazda. Orzeł zaatakował go. Witold zdjął płachtę jaką miał na sobie i zarzucił ją na ptaszysko. Obwiązał ją tak, by orzeł nie wydostał się przez dłuższy czas.

Wkroczył do jaskini. Zaskoczył go widok wielkiego wilczura. Wilk zaczął do niego merdać ogonem, jakby nie widział Witolda przez wieczność.

- Co się z nim stało? Czy to jakieś czary? - spytał wieszczki.
- Tak działa kamień filozoficzny, który mam w posiadaniu. Mogę stwarzać różne eliksiry. Nieśmiertelność, piękny wygląd, przywrócenie młodości, danie rozumu, stworzenie golemów strzegących wejścia...
- Jakich golemów? - Gdy wejście zaczęło się ruszać i jeden z potworów pomachał do niego swoją gigantyczną ręką, Witold prawie osunął się ze zdumienia.
- Wystarczy odpowiednia mikstura i mogę zrobić wszystko. To potęga, ale również odpowiedzialność. Zastanawiam się jak nazwiesz swojego wilczka.
- Myślę, że Oswojony z Kur, to imię będzie dobre, jako że oswoiłem go mięsem z kur.
- Myślałam, że masz lepszą wyobraźnię. Może po prostu Swojak?
- W porządku, niech będzie Swojak. - Wieszczka poprosiła o jajo, a gdy je oddał ostrzegła go:
- Orzeł musi zobaczyć cię jako pierwszy, żeby stać się twoim przyjacielem.

Umieściła jajo w sadzawce z jakąś pobłyskującą cieczą. Przybliżył się i zobaczył jak orzeł zaczyna się wykluwać. Wieszczka kazała mu wpatrywać się cały czas w jajo. Trudno było mu utrzymać wzrok w jednym miejscu, ale w końcu orlik zaczął go dostrzegać. Gdy już wyrósł, objął Witolda skrzydłami. Teraz miał dwóch przyjaciół. Wyrośniętego i Swojaka.

- Zanim wyślę cię w ostateczną podróż, mam dla ciebie ostatnie zadanie. Idź na bagna i złap ognika. Masz ode mnie specjalną klatkę, wysmarowaną olejkami błyszczącymi w środku, dzięki czemu nie zgaśnie. Gdy już go złapiesz – przyprowadź do mnie. Weź z mojego magazynu wszystko co uznasz za stosowne.
- W porządku.

Wziął linę z hakiem, kij, kurtę z kieszeniami, dziwnie wyglądające buty

zrobione z desek i wyruszył przed zmierzchem. Gdy zszedł ścieżką w dół, zrobiło się już ciemno. Na rozstajach skręcił w kierunku bagna, które rozpoznał po świecących ognikach. Założył dziwne buty i wszedł w grząski teren. Kijem sprawdzał czy nie ma trzęsawiska. Otworzył klatkę, a ze środka wyłoniło się tak mocne światło, że prawie oślepl. Nie uprzedziła go o tym. Szybko zamknął klatkę.

Zawiesił pułapkę na linie z hakiem i otwierając ją na oścież, skierował na świetliki. Skrył się w zaroślach i czekał. Gdy w końcu jeden dał się złapać, udał się do wieszczki.

- Teraz masz już wszystko. Otwórz klatkę i daj ognika. Tylko uważaj na skrzydełka.

Witold podał jej ostrożnie ognika, ona zaś skapnęła kropelką z jednego eliksiru na jego głowę. Ognik zaczął mówić.

- Co wyście porobili duraki jedne. Ooo, ja potrafię mufić. Nie fiem cy dziekofać cy płakać. Moze to i to. - i zaczął płakać.

- Dałaś mu rozum. - Uśmiechnął się do wieszczki.

- Tak to prawda. - Odwzajemniła uśmiech. - Przyszedłeś do mnie w konkretnym celu. Ja dałam ci środki, do ciebie należy wykonanie ostatniego zadania.

- Uratowanie siostry. - Stwierdził.

- To będzie trudniejsze niż przypuszczasz. Musisz iść za kładkę w pełnię księżycy i zebrać ziele zwane wybudnikiem księżycowym, które kwitnie jedynie w tym czasie. Noc ta nadejdzie w tym Saturdasie, czyli masz jeszcze dwa dni na przygotowanie. A teraz idź i wróć z kwiatem. Pamiętaj jednak, że z moich usług można skorzystać jedynie raz w życiu, więc uważaj, by jakaś klątwa nie została na ciebie rzucona. Żegnam.

Po takim przemówieniu ze strony wieszczki, udał się razem z swoimi zwierzętami do wioski. Pierwsze co zrobił, to skierował się do swojego domu,



by zobaczyć jak sprawy stoją. Rena leżała coraz słabsza, ojciec jak mógł robił w gospodarstwie – na szczęście nie pił. Matka opiekowała się siostrą.

Gdy Kładczenie zobaczyli jego wilka, na początku uciekali. Dziwili się również na widok Wyrośniętego: taki orzeł, a spokojnie siedzi na ramieniu Witolda. Świetlika na razie trzymał w pułapce, by ludzie nie uznali go za większego dziwaka, niż do tej pory. Gdy przyszedł wieczór, zjadł w końcu coś ciepłego na kolacje i położył się spać.

Następnego dnia wziął siekierę i otworzył przejście do zakazanego lasu. Ludzie buntowali się, lecz gdy im wyjaśnił, czemu to robi, pozwolili mu działać. Wyrębał przejście przez cierniste krzaki i pozostało mu jedynie czekać na noc.

Wieczorem przeszedł przez kładkę w towarzystwie Swojaka i Świetlika. Zamknięto za nim kładkę. Wyrośnięty patrolował teren w powietrzu. Szedł ścieżką ciemną, oświetlaną jedynie przez ognika. Księżyc był za chmurami. Przez chwilę miał wrażenie, że ktoś go śledzi, ale to chyba normalne w takim ciemnym lesie. Drzewa wyglądały jak karykatury ludzi. Pochylały się nad nim jakby chciały zabrać jego duszę. Może właśnie tego chciały, bo Swojak warczał na nie. Świetlik przez cały czas bredził coś o umieraniu i jakie to nieszczęście było, że dał się złapać w klatkę.

- Ale to tak nie miało być. Miałem zaloszyć radosnom rodzinke swietlikuf.

- Przymknij się, bo zwracasz na nas uwagę.

- Ufs, pseplasam. - odpowiedział cichym już głosem. Wykrykał. Na szczęście ojciec przed wejściem do lasu dał mu swój miecz z czasów wojen z orkami, które zostały wypędzone za lodowiec, a broń została. Zobaczył pierwsze cienie.

- Świetlik poświeć ostrzej, bo nas dostaną. - Stało się tak jasno jak w dzień, a cienie rozplynęły się w świetle.

Oprócz cieni były też stwory z krwi i kości. Otoczyły ich. Wyjął miecz, a Swojak obnażył kły. Z początku bały się ich, lecz powoli zaczęły podchodzić.

Jeden z nich, chyba dowódca, rzucił się pierwszy. Swojak obronił Witolda własnym ciałem i wbił kły w szyję przeciwnika.

Za dowódcą inne stwory odważyły się zaatakować. Ciął z wszystkich sił.

Nagle orzeł zaczął pikować. W samą porę uchylił się w dół, gdyż stwór za nim skoczył i już miał wbić kły w jego szyję, kiedy Wyrośnięty zleciał na niego.

Stworów już zostało mało, gdy przed nim pojawiła się czarownica.

- Ty! - Krzyknął i zaczął biec w jej stronę z wyciągniętym i krwawiącym jeszcze mieczem. Stwory na widok jego szału wycofały się. Czarownica zaczęła się śmiać, zrobiła unik i go ugryzła. Z wściekłością ciął jej szyję. Gdy oderwała zęby od szyi, uciął jej głowę. Wilk był pogryziony, orzeł złamał skrzydło, a świetlik prawie się wypalił. Świetlika wsadził do klatki, żeby odpoczął i zyskał siły.

Poszedł dalej ścieżką i trafił na polanę, na której kwitł wybudnik księżycowy. Był oświetlony przez wiązkę księżyca. Zerwał go i wrócił do wioski, a na końcu do wieszczki, która zrobiła napój uzdrawiający dla siostry przy użyciu jej kamienia filozoficznego.

Spytała się czy coś dziwnego go spotkało. Powiedział wszystko oprócz tego, że ugryzła go czarownica. Napomknął, że ją spotkał i odrąbał jej głowę, ale nic więcej.

- To była moja siostra. Dziękuję że skróciłeś jej cierpienia. Może była zła, ale stała się taka przez swoją chorobę, na którą zachorowała, gdy nasza matka uczyła nas sztuki magicznej. Matka kazała jak najszybciej przynieść pewne zioło, lecz nie mogłyśmy iść przez drogę, gdzie rosły wilcze ciernie. Ja zrobiłam jak kazała, a siostra chcąc być ode mnie lepsza, poszła przez ciernie, które ją pokłuły i zaraziły wilczą polimorfią zwaną wilkołactwem...

Od stołów w karczmie powoli zaczęli wstawać ludzie i sięgać po broń. A że byli mocno pijani, obrona przed kłami wyrastającego przed nimi wilkołaka

była bezcelowa. Następnego dnia wędrowiec zebrał złoto, które wydał w karczmie na wino dla gości i z uśmiechem wyruszył polować i zaspokajać głód gdzie indziej. A jego siostra? Została wyleczona. Rena zaczęła uczyć się u wieszczki i kto wie, może kiedyś położy kres klątwie swojego brata.

## Kruki

Nie wiem, czy wiesz że kruki to ptaki stadne, które trzymają się większych skupisk ludzkich. Lubią żyć w parkach, zarastających ruinach, swoje gniazda zakładają też na dachach wiekowych kamienic. Mają serca z czarnego szkła, brak im dusz. Wierzysz w reinkarnację? Bo to coś podobnego. Każde żywe stworzenie ma w sobie coś, taką drobną iskierkę, cząstkę, która sprawia, że działa i żyje. Jednak te ptaki są tego pozbawione. W miejscu gdzie wszystkie inne zwierzęta mają tę cząstkę, one mają kłębiącą się, nieprzeniknioną, podobną do mgły czern. Pochłaniają wszystko co jasne, dobre i ciepłe, wysysają soki życiowe ze wszystkiego czego dotkną. Zastanawiałeś się może kiedyś, dlaczego te ptaki tak lubią siadywać na starych, suchych, obumarłych lub chorych drzewach? Otóż prawda jest taka, że obsiadają zdrowe drzewa i siedzą na nich tak długo, aż wyssa z nich tę iskierkę życia i pozostawią pustą skorupę. Nie mają z tego żadnej korzyści ani nie czerpią energii z obumarłych roślin. Robią to, bo są zepsute, zepsute do cna. Jednak nie są to ptaki, które potrafią żyć w lesie. Boją się go. A to dlatego, że las żyje w każdym, nawet najmniejszym skrawku. Boją się nadmiaru życia. Wolą żyć wśród ludzi którzy i tak wszystko uśmiercają.

W pewnym w starym dębowym lesie przylegającym do małej wioski mieszkało dwóch braci. Deto, który miał już swoją rodzinę i dzieci oraz Leto. Mieszkali w domku położonym na urokliwej polanie.

Dom był niewielki, miał z przodu ładny ganek, a z tyłu znajdowało się drugie wyjście prowadzące do malutkiego ogródka z warzywami i krzewami dzikiej róży.

Gdy bracia byli mali, mieszkali we wsi w rodzinnym domu. Wszystkim żyło się spokojnie, nigdy niczego im nie brakowało.

Pewnego dnia przez wieś przechodził mężczyzna ubrany w czarny

płaszcz i szpiczasty czarny kapelusz. Deto, który lubił czytać tajemnicze opowieści, podbiegł do nieznanego i spytał się:

- Ty jesteś ten Kruk z Opowieści o Kruku?

- Tak to ja. – odpowiedział obcy, po czym pokazał mu kulę, Deto zbliżył się powoli do kuli i zauroczony nią dotknął jej.

- Bądź moim uczniem – zaproponował starzec.

- Zawróć tam gdzie przybyłeś podstępny Kruku. Gdybyś mi nie pokazał kuli, nigdy bym jej nie dotknął. Zawróć skąd przybyłeś, podstępny Kruku, za bardzo kocham by cię nienawidzić. Zawróć gdzie twoje miejsce, podstępny Kruku, nigdy nikogo nie zabiję. – Odpowiedział Deto.

- Widzę, że czytałeś Opowieść o Kruku mały człowieczku. Dobrze. Odejdę. Kula jednak będzie twoja. Ponieważ jej dotknąłeś stała się częścią ciebie. Wiedz jednak, że swoją postawą nie zabiłeś tylko siebie. – Po czym zamienił się w kruka i odleciał kracząc, jakby się śmiał.

Od tamtej pory Deto panicznie bał się kruków i nienawidził ich. Jednak kulę zachował, choć spędzała mu sen z powiek.

Deto, kiedy jeszcze byli dziećmi, opowiedział o tym swojemu bratu. Leto z początku nie chciał mu wierzyć. Kula była jednak dowodem.

Dlatego, że kruki były wszechobecne w starej wsi, zdecydowali się zamieszkać w lesie. Kulę zakopali w ogródku. Gdy Deto założył rodzinę, kruki i zimna kula stały się tematami tabu.

Pewnego razu, gdy Leto był w mieście, zobaczył kruki i pomyślał o bracie i jego lęku. Ptaki wyczuły to. Miały one w pamięci to wydarzenie sprzed lat, kiedy Deto jako mały chłopiec otrzymał prezent od czarownika. Kruki przekazują sobie wiedzę, o każdym kto został naznaczony. W ten sposób młodszy brat sprowadził nieszczęście na ostoję spokoju, w której mieszkał wraz z bliskimi.

Następnego dnia, gdy wyszedł rano do pracy, kiedy jeszcze wszyscy domownicy spali, nie wiedział, że złe oczy ptaków go obserwują. Nie wiedział, że już nigdy więcej nie ujrzy brata, jego żony i dzieciaków. Gdy wracał wieczorem, z daleka poczuł swąd dymu. Przybliżając się ujrzał swój dom w płomieniach, a krzyku palonych żywcem ludzi nie zapomni nigdy. Nie było szans by uratować cokolwiek. Brat spojrział w niebo i zobaczył kołujące nad lasem kruki.

Wspomniał słowa brata, który zawsze powtarzał, że czarnych ptaków nie należy lekceważyć. Głośno zapłakał. Wezwana straż dogasiła płomienie, ale jedynym co pozostało i przypominało to, czym było przed pożarem był kominek ogrzewający cały dom, który kiedyś znajdował się w jego sercu.

Co dziwne pożar nie objął niczego oprócz domu. Ogród warzywny był nietknięty. Tylko krzaki dzikiej róży były zwiędnięte, kwiaty całkiem odpadły, a liście wyschły i rozpadały się w pył przy dotknięciu, czy choćby mocniejszym podmuchu wiatru. I właśnie w ten sposób kruki ukarały dwóch braci, którym kiedyś udało się umknąć. W młodszym bracie narodziło się uczucie zemsty i poczucie niespełnionego obowiązku względem zabitego brata.

Po pożarze wydobył zwęglone ciała swojej rodziny. A że od ognia ostał się jedynie ogródek, postanowił pochować tam ich zwłoki. Podczas kopania łopata natknęła się na opór. Leto wydobył skrzyneczkę, po czym zaglądnął do niej. W środku znajdowała się szklana kula. Kiedy przez nią spojrział, zobaczył, jak koło niego stoją duchy brata i jego rodziny. Leto przestraszył się i upuścił kulę. Mary zniknęły. Jednak od tej pory coś się w nim zmieniło. Nadal wyczuwał ich obecność. Postanowił wziąć kulę jeszcze raz do rąk. I tym razem ich zobaczył. Brat Leto wskazał palcem na miasto. Zrozumiał, że starszy brat nie może nic powiedzieć. Schował szklaną kulę do kieszeni, a ciała pochował. Teraz już nie wyczuwał ich obecności. Zaznali spokoju.

Po drodze do miasta las się rozrzedzał, ustępując miejsca polom

uprawnym. Kula zaczęła mu ciążyć. Nagle usłyszał głosy. „Śmierć, pustka, padlina, mięso, zjeść, wydłubać oczy.” Koło niego zaczęły się gromadzić kruki. Kula coraz bardziej mu ciążyła. W końcu upadł na kolana.

Kruki i ich głosy. Było ich coraz więcej. Leto nie mógł utrzymać takiego ciężaru. Wyjął kulę i upuścił ją koło siebie. Leto wyczuł jak w krukach rośnie strach, wręcz panika. Niektóre z nich odleciały, inne się cofnęły.

Wśród kruków, które zostały, był kruk olbrzym. Nie tylko się nie wycofał, ale i podszedł do Leto. „Tyś jest wybraniec, pozwól, że będę ci służył.”

- Zabiliście moją rodzinę! Jak mogę oczekiwać pomocy od was?

„Pójdź ze mną to dowiesz się wszystkiego, weź kulę”.

- Czemu ona jest taka ważna. – „Dowiesz się na miejscu.” – Dobrze prowadź.

Po czym ruszyli. Kruk i jego pan. Nie wkroczyli do miasta. Szli ścieżkami, których Leto nie podejrzewał, że istnieją, chociaż znał okolicę. Kruk krążył nad kolejnym punktem, do którego Leto dochodził, po czym leciał dalej. Przejście między dzikimi lasami, jakby otwierało się samo. Doszli w końcu do bagien.

Ogniki świetlne wyglądały jak ludzie. Leto zatrzymał się. Kruk spytał się:

„Czemu stoisz?”

- Nie widzisz tego? Tyle tu duchów. Żaden z nich nie został pochowany. Teraz świecą, by wabić nieostrożnych podróżnych. By przyjąć kolejnego przyjaciela w objęcia śmierci i wiecznej egzystencji w tym bagnie.

„Nie martw się, przeprowadzę cię bezpiecznie przez to bagno.” Kruk zaczął się inaczej poruszać. Teraz leciał mały kawałek i przysiadł tam gdzie było bezpiecznie. Już nie krążył. Gdy Leto dochodził do niego, sytuacja znowu się powtarzała. W końcu wyszli z bagna. Znaleźli się na równinie.

„Musimy się teraz spieszyć”

- Czemu? – Jak tylko zapytał się, usłyszał w oddali wycie wilków. I wszystko

stało się jasne. „Widzisz tamtą zagrodę?, za zagrodą znajduje się chatka mego pana.” Leto chciał już spytać, jakiego pana, ale rozmyślił się i zaczął biec.

Po dwóch minutach dotarł do zagrody. Była zamknięta. Kruk wleciał szybciej. Brama się otworzyła, a w niej stanął starzec liczący sobie chyba setkę lat, cały pomarszczony, ale jeszcze dobrze się poruszał, podpierając się laską. Leto wszedł, a brama się zamknęła.

- Dobrze mój mały, że w końcu doszedłeś. Masz kulę?

- Czemu jest ona taka ważna?

- Bo jest moja. I nie daję ją byle komu. Chcesz się zemścić?

- Skąd wiesz? To ty zabiłeś wszystkich! Puść mnie. Wolałbym, żeby zabiły mnie wilki, niż żebym trafił tutaj. W paszczę szaleństwa, zła i... i... – Leto zaczął płakać, a jego grube łzy skapywały do podstawionego pucharka. – Kim w ogóle jesteś?

- Jeżeli chcesz mnie zabić. To dobrze, ale zrobisz to z zemsty i na moich warunkach. „Najpierw odpocznij.” Odezwał się głos w jego głowie. „Do przesilenia wiosennego jest jeszcze trochę czasu.” – Po czym Leto zasnął.

Obudził się z długiego snu. Jakby ktoś go zaczarował. Pokój jego znajdował się na górze. Wszedł. Pierwszą myślą była ucieczka. Jednak wiele przemawiało za tym, żeby zostać. Wilki, ukryta prawda, zemsta. Wszedł do kuchni. Nikogo nie było. Poszukał pożywienia w spiżarni. Wyjął jakieś mięso, chyba z kury i dwa jajka, po czym przyrządził sobie posiłek. Akurat gdy jadł w kuchni wkroczył starzec.

- Widzę że już się zagospodarowałeś. Cieszy mnie to. Wiedz że to co zjadasz ze smakiem to krucze mięso i ich jajka. Nie mam kur, a kruki, no cóż, nimi się żywię, bo wilki raczej nie pozwalają mi stąd wychodzić. – Leto chciał zwrócić mięso i jaja kruka, ale było już za późno. W jego żyłach krążyła już skażona krew. – Przesilenie jest już dzisiaj. Przygotuj się, bo to będzie twoja wielka



okazja, żeby się zemścić.

Leto zauważył przez okno, że zachodzi słońce. Pogrążył się w rozmyślaniach. Jedno pytanie, na które nie znał odpowiedzi, ciągle się pojawiało w jego głowie. Dlaczego. Dlaczego. Dlaczego. Stukał palcami o ścianę w rytm skrzekliwych słów splugawionych kruków. Słowa, których nie znał wpajały mu się do głowy, zamieniając umysł w gąbkę pozbawioną uczuć. Pozbawioną wszystkich oprócz jednego – zemsty.

W końcu nadszedł czas. Po Leto przyszedł starzec. „Choć, wychodzimy.”  
- A wilki? – „Kruki się nimi zajmą.” Wyszli z zagrody. Wokół nich uformowała się z wolna gruba ściana latających kruków. Wilki zaczęły wyć. Starzec i Leto szli w miarę spokojnie, nie spieszyli się. Wilki zaczęły atakować dziwną ścianę. Jednak przegrywały raz za razem. „Uciekaj, dołącz do nas” – zdawało się Letowi, że je słyszy. „Zanim będzie za późno.” Doszli na polanę, na której znajdował się wielki głaz. Był płaski jakby wypolerowany na wierzchu, lecz sprawiający wrażenie naturalnie powstałego. Ataki wilków nasiliły się, lecz kruków było coraz więcej.

- Oto moje warunki. Dam ci sztylet. Zabijesz mnie. I wypijesz moją krew. Tylko wtedy poznasz prawdę i będziesz mógł się zemścić. – Powiedział starzec, dał Leto sztylet i kielich z jego łzami, po czym zaczął się zmieniać w kruka. Tego samego kruka, który oprowadzał go do domostwa starca. „Nie rób tego, możesz zemścić się inaczej”. Wyły wilki, „On cię oszukuje. Jeżeli go posłuchasz staniesz się taki jak on!”

Chociaż Leto był zdeterminowany i posłuchał się starca, zabijając go, jednak krwi nie wypił, gdyż wiedział, że jak tego nie zrobi, kruki go rozszarpiają. Odrzucił kielich ze łzami na ołtarz. Nagle rana kruka zaczęła się zrastać, a wśród kruków zaczęły się pojawiać białe ptaki, które zaczęły walczyć przeciwko czarnym. Leto mógł zbiec do zagrody.

Czarne kruki padały jeden po drugim. Gdy na placu boju pozostały już tylko te białe, wyłoniła się z nich biała pani. Leto przypomniał sobie Opowieść o Kruku, o którym czytał mu brat, przed tym jak czarnoksiężnik dał mu kulę. Mówiła ona o tym, jakich użyć słów, by przegonić Kruka, których kiedyś użył jego brat. Mówiła też w jaki sposób oczyścić Kruka ze zła. Najważniejsze były łązy rozpaczy, które należało rozlać na ołtarzu. Oczyściły one ołtarz z okropieństw jakich dopuścił się czarnoksiężnik, by zostać wiecznie młodym.

Leto po wszystkim zaprosił do siebie białą Kruczą czarodziejkę i żyli długo. A dzięki jej magii czarne kruki przestały zagrażać ludziom, gdyż oddała im swoją iskierkę duszy, którą skradł im czarnoksiężnik, by osiąść moc.

## Kwiat

Pewnego razu za górami i lasami była sobie mała wieś. We wsi tej mieszkali ludzie, którym nic nie brakowało, gdyż posiadali niezwykły kwiat. Kwiat zapewniał im wszystko o czym mogliby zamarzyć. Wieśniacy najbardziej potrzebowali dobrych plonów, szczerych uśmiechów, radości i szczęśliwego życia. Opiekunką kwiatu była starsza kobieta, będąca tak wiekowa jak stary dąb na rozstajach drogi. Miała ona dwie wnuczki Miję i Moli. Mija – starsza – była bardzo opanowana i nie trzymała jej się psoty w głowie. Moli chociaż lubiła się wygłupiać, zawsze była miła dla innych.

Dni mijały, dziewczęta dorastały, a babuleńka nieubłaganie się starzała. Razem z nią blask tracił kwiat. Gdy była już pewna, że nie może już więcej się nim opiekować, postanowiła zorganizować konkurs na najlepszą Opiekunkę Kwiatu. Zbliżały się święta z okazji ponownego przyjścia wiosny. „Nie byłoby lepszej okazji na ogłoszenie konkursu na Piastunkę niż na święto wiosny”. Pomyślała babcia i tak zrobiła.

Każdej dziewczynie, która zgłosiła się do rywalizacji podarowała jedno ziarno i doniczkę z ziemią. Mija i Moli także zdecydowały się na udział. Podczas konkursu dziewczyny śpiewały ładne pieśni, dzięki którym kwiaty powoli wzrastały. Jedna śpiewała o radościach życia codziennego, druga o pracy i związanych z tym obowiązkami i korzyściach, jeszcze inne o miłości, przyjaźni, szczęściu czy szczeroci. Jednak każda, włączając w to starszą siostrę, myślała o korzyściach jakie się kryją, gdy już zostaną piastunkami. Piękno, dobrobyt, długowieczność. Tylko jedna chciała bezinteresownie pomagać innym. Była to Moli.

Każdy kwiat był piękny. Jeden był fioletowy, inny błękitny, jednego płatki były owalne, innego okrągłe, lecz jeden kwiat był szczególny. Mienił się wszystkimi kolorami, a dla każdego mieszkańca wioski wyglądał inaczej.

Każdy widział w nim co innego. Dla Piastunki umierającego Kwiatu był to znak, że to jest nowy kwiat, który będzie strzegł wioski po jej odejściu.

- Każdej z was dałam ziarenko mojego kwiatu, ale tylko jedna osoba potrafiła obudzić w nim moc jaki miał na samym początku istnienia mój kwiat. Ja też występowałam taki kwiat jak Moli. I to właśnie Moli będzie nową Piastunką Kwiatu. Niewiele mi zostało życia. Żegnajcie. – powiedziała babuleńka ze łzami w oczach, po czym rozpląnęła się w powietrzu, a wraz z nią jej kwiat.

Mija bardzo zazdrościła Moli, a jej ambicje by zostać Piastunką, zastąpiła zawiścią i zazdrością. Gdy Moli spała, śpiewała nad jej kwiatem. Do kwiecica wnikała złość, nienawiść, podłość, zawiść, zazdrość oraz niechęć do pracy na polu.

Gdy Moli się obudziła, zobaczyła, że kolory wyblakły, wręcz zszarzały. Ludzie z dnia na dzień stawali się bardziej źli i samolubni. Szerzyła się podłość i inne cechy, które wpoila kwiatu Mija. Moli zaś zachorowała. Mija widząc co się dzieje, uciekła z wioski, w której sąsiad złorzeczył sąsiadowi i dochodziło do rękoczynów. Kwiat coraz bardziej zmieniał barwę, aż stał się czarny.

Moli postanowiła zniszczyć kwiat. Wiedziała, że wraz z nim umrze i ona, ale myślała tylko o jednym. O ulżeniu mieszkańcom i nawróceniu ich na dobrą drogę, taką jaka była wcześniej. Spaliła Kwiat i umarła. Kwiat nigdy już nie będzie wpływał na szczęśliwość ludzi z wioski.

Nie wszyscy ludzie stali się na powrót dobrzy. W niektórych zło zagościło na stałe. Od tej pory Wioska podzieliła się na dwie grupy, później się znowu wymieszała. I tak ludzie po latach stawali się ani dobrzy, ani źli. Z wieloma wadami, ale i z wieloma zaletami. A pamięć o dwóch siostrach zamazała się tak samo jak o krainie szczęśliwości, którą zapewniał pewien kwiat.

## Lustro, czyli ukryta symbolika

Torimer patrzył na odbicie pięknej kobiety w swoim lustrze, które niedawno dostał w spadku od swojego przyjaciela. Lustro, choć wskazywało mu dziewczynę jego marzeń, którą prawdopodobnie uzyska w przyszłości, było bardzo sceptyczne. Nie chciało go podtrzymywać na duchu. W końcu przyszłość nie jest do końca pewna. Nawet, jeżeli sytuacja zapisana jest w gwiazdach i tak zawsze zaistnieje ten pięćdziesięcioprocentowy ułamek wolnej woli, którą posiada i wykorzystuje każdy człowiek.

-Czemu się gapisz? – powiedziało lusterko i nie czekając na odpowiedź, dalej prowadziło swój monolog. – Przyszłość jest równie nierealna jak to odbicie we mnie. Nawet jeżeli ja jestem bliżej tego odbicia, nie mogę w żaden sposób wpłynąć na nie. To odbicie we mnie to iluzja. Powiedz mi, czemu się patrzysz na iluzję, czemu uważasz coś za prawdę, gdy nawet nie wiesz co się stanie jutro?

-Głupie lustro. – Odpowiedział mag. – To, że patrzę na odbicie przez ciebie, nie ma żadnego znaczenia. Równie dobrze mógłbym patrzeć przez wodę czy przez inny żywioł. Natomiast patrzenie na „iluzję”, ma dla mnie na celu przybliżyć wynik ostatecznej przyszłości pokazanej w tobie. Nie mogę cię zbić wyrodne lustro, bo moje marzenie nie spełniłoby się, jednak co roku będzie ci ubywało jednej małej części dopóty, dopóki się to nie spełni, a ty nie zrozumiesz swojego błędu.

Mag, który choć sam liczył sobie z dwieście lat, wyglądał na osobę po trzydziestce. Dawno temu pewna zła czarna księżna Miramisu rzuciła na niego urok. Torimerowi, który wtedy wyglądał na dwudziestolatka, ale liczył sobie coś koło setki, udało się oprzeć urokowi księżnej, która, będąc w nim zakochana, rzuciła na niego klątwę z powodu miłosnej porażki. Polegała ona na tym, że nie będzie mógł w przyszłości związać się z żadną inną kobietą.

Pora powiedzieć coś o lustrze. Mag nie miał od początku magicznego lustra. Lustro, w którym było odbicie pięknej kobiety, przechodziło przez lata z rąk do rąk i tak naprawdę nikt nie wie skąd ono pochodzi, oraz kim jest ta nimfa, która widnieje w lustrze zamiast normalnego odbicia. Dałbym sobie głowę odciąć, że nawet lustro nie wie kim jest ta panna i jak się znalazła wewnątrz lustra. Każdy kto posiadał lustro, był zafascynowany widokiem wewnątrz niego do tego stopnia, że po dwóch tygodniach umierał z pragnienia i głodu. Torimer na szczęście miał na tyle silnej woli, by choć na godzinę wyrwać się w ciągu dnia na odpoczynek. Ale nawet gdy spał ciągle mu się śniła ta dziewczyna.

Lustro z każdym rokiem stawało się mniejsze, lecz serce i cierpliwość maga było na tyle silne, że ani razu nie nurtowała go zła myśl.

-Została ze mnie połowa. – Rzekło lustro z wyrzutem.

-Kara to kara.

-Nigdy się nie zastanawiałeś. – Podjęło temat jakby był filozoficznym odkryciem. – Siedzisz tak przede mną od około pięćdziesięciu lat. Wiem, bo już nie ma mnie w połowie... Nic nie robisz, żeby przeciwdziałać klątwie. Nie wierzę już w ciebie. Bo tylko się we mnie gapisz. – Niespodziewanie lusterko przedzieliło się na pół i pewnie obie części by spadły i rozsypały się w drobny mak, gdyby nie interwencja maga, który złapał jedną część raniąc się w palec o ostrą krawędź lustra.

-Masz rację. Zdejmuję z ciebie klątwę. Ponadto uświęcam twoją powierzchnie swoją krwią, dzięki czemu będę mógł zmienić Cię w co tylko zechcę i kiedy zechcę. Powysyłam gołębie pocztowe do trzech królestw, by starać się o rękę jednej z księżniczek.

Lustro dziwnie spojrzało na niego, lecz powstrzymało się od komentarza i pomyślało po cichu. „Ale dureń. Tylko on mógł wysłać jednocześnie trzy listy.

Będzie się działo za niedługo”.

Trzy królestwa odpowiedziały magowi pozytywnie. Każde z nich miało jeden warunek do spełnienia, a dlatego że były w dobrych stosunkach względem siebie, nakazały mu wykonać wszystkie trzy zadania i wybrać między kandydatkami jedną pannę.

Śnieżnywicher był jednym z królestw, od którego Torimer otrzymał wiadomość. Nazwa Śnieżnegowichru nie jest przypadkowa i wiąże się z nią pewna historia, o której mag sobie przypominał.

Pierwszy król Radogomir wmówił ludziom, że ich stolica potrzebuje grodu zamkowego, żeby przetrwać różne koleje losu. Po wybudowaniu zamku ludzie chcieli nazwać go Śnieżnym Wichrem, gdyż kraj znajdował się na górzystych terenach, gdzie przez dziewięć miesięcy w roku panuje zima i prawie zawsze leży śnieg. Temu, co zarządził budowę zamku, pomysł się nie spodobał, gdyż uważał zamek za swoją własność, a gród postanowił nazwać Słoneczna Przystań. Lud się oburzył.

Król nie mając wyboru ogłosił turniej. Jako broniącego wystawił swojego syna. Poddani wybrali umięśnionego budowniczego. Książę jak tylko go zobaczył chciał wziąć nogi za pas. Budowniczy rzucił kamieniem, który miał pod ręką i zabił królewicza. Radogomir mimo straty syna nie chciał się poddać zwycięstwu ludu i nadal trwał przy swoim. Budowlaniec wziął drugi kamień i tak wycelował, że nawet ochrona króla nie zdołała pomóc, a sam król został zabity w swoim nowym zamku z odległości szesnastu metrów. Tłum wiwatował. Obwołano królem budowniczego, ale gdy doszło do nadania nazw nowy król pokazał swą słabość. Pisał bez odstępów. Dawno temu czarna księżna przeklęła jego dziadka za to, że starał się o jej rękę. Od tamtego czasu Śnieżnywicher nie używa w języku urzędniczym odstępów. Nowemu królowi nadano imię Dalekorzucającykamieniem.

Pierwsze królestwo, do którego Torimer miał się udać, było zwane

Fronдания. Król kazał zdobyć mu skórę legendarnego dzika Rozpruwacza, który był postrachem między ludźmi i zwierzętami. Drugim zadaniem, tym razem od królestwa Liradia było przekonanie bożka Lepanoga o użyczenie wody mądrości dla króla, tegoż królestwa. Ostatnim zadaniem Torimera, zleconego przez króla Młodowylądającego starca z zamku Śnieżnogowichru, było dowiedzenie się od nieżyjącego króla Tegoconieuciekł tajemnicy długowieczności rodu.

Mag wyruszył. W pierwszym zadaniu Torimer spotkał na swej drodze pożądanego dzika, zamienił lusterko w łuk, którym zabił dzika. Ze względu, że nie miał czym zdejmować skóry, zamienił łuk w nóż myśliwski, z czego lusterko nie było zachwycone, bo nie lubiło brudnej roboty.

Po odnalezieniu bożka Lepanoga – zastał go rozpaczającego nad swoim złamanym fletem. Flety są szczególnie ważne dla bożków, bo za ich pomocą mogą hipnotyzować swoich wrogów. Lepanog czuwał nad źródłem mądrości i za bardzo nie chciał rozdawać jego zasobów, żeby nie wyschło. Gdyby tak się stało on straciłby cel życia, a wraz z nim życie.

Mag postanowił pomóc mu pod warunkiem, że da do karafki trochę wody mądrości. Lepanog zgodził się z radością. Torimer oddzielił od lusterka część cienką jak nić i nicią tą przykleił do siebie złamane części fletu. Bożek odwdzieczył się dotrzymaniem obietnicy.

W drodze na kurhan Tegoconieuciekł lustro zagadnęło do swego pana:

-Jeszcze trochę, a nic ze mnie nie zostanie.

-Nie narzekaj. Dzięki tobie robimy coś pożytecznego, aniżeli, jak to powiedziałeś gapienie się w iluzję.

-Pff... –lustro fuknęło i zamilkło.

Po pewnym czasie mag dotarł do kurhanu, na którym nie tylko zostało napisane imię króla, ale również przezwisko. Za pomocą nekromanckiego



zaklęcia ożywienia zwłok przywołał do siebie króla „Tegoconieuciekł”, który dostał to przezwisko po śmierci, bo rzeczywiście nie uciekł wtedy, gdy trzeba było to zrobić.

-W imię bogów śmierci i ich sług powiedz mi, jaka jest tajemnica waszego rodu.

-Hi hi. Nie powiem. Nie obchodzą mnie wasze bożki. – Odpowiedział Tenconieuciekł i zaryczał ze śmiechu. Torimer zaczął prosić na kolanach ożywionego króla, ale ten miał to za nic. W końcu wyczerpany mag spytał się lusterka o radę.

-Co ja o tym myślę? Myślę, że zachowujesz się jak wariat pytając, wrzeszcząc i błagając pustą przestrzeń, żeby ci odpowiedziała.

Mag przez chwilę był w szoku przez to, że lusterko nie widzi umarlaka, lecz nie na długo.

-Ożywiłem zwłoki wampira – krzyknął z przestraszeniem, a jednocześnie z ulgą, ponieważ dowiedział się, czym był sekret długowieczności rodu „Łączącegonazwy”

Torimer puścił zaklęcie, lecz ożywienie zamiast się rozpaść tkwił dalej na kurhanie i szyderczo się śmiał. Zamienił lustro w kołek i rzucił go prosto w serce wampira. Wampir po udanym ataku rozpuścił się, a kołek wrócił do maga i zmienił się w pierwotną postać.

Torimer ucieszony, że zebrał wszystkie artefakty i informacje, postanowił zajrzeć najpierw do królestwa Frondanii. Gdy oddał skórę dzika, król zaczął podskakiwać ze szczęścia. Podtrzymywany w weselnym nastroju przez poddanych pokazał mu swoją córkę, która... miała dość spory zarost na twarzy. Mag żeby nie psuć nastroju króla i poddanych powiedział:

-Mości Panie Królu, pozwól, że obejrzę wszystkie księżniczki, zanim wybiorę narzeczoną – po czym udał się do Liradii.

W zamku zastał tam króla wraz z dworzanami, którzy wyglądali jakby ślub się już odbył. Pijany król zażądał od Torimera eliksiru mądrości. „Myśl, która zaświeciła królowi o tym eliksirze, była jedynym błyskiem w jego całym życiu. Ech.” – Pomyślało lusterko. Po przekazaniu eliksiru, król wypił go jednym haustem. Wypił i się rozpłakał.

-Królu, czemu płaczesz?

-Ponieważ przejrzałem na oczy. Byłem głupcem. Uczyniłem z moich podwładnych klaunów, takich samych jak ja. A najgorsze jest to, że ja zmądrzałem.

-Czemu? Przecież to jest wspaniale skoro możesz naprawić swoje błędy, rządzić mądrze i sprawiedliwie.

-Może, ale pewnych rzeczy nie można zmienić. – To mówiąc pokazał mu swoją córkę.

Może i była ładna, ale po zachowaniu można było poznać, że nie miała za grosz rozsądku. Zawiedziony mag udał się do ostatniego królestwa.

Kraj, w którym stał zamek Śnieżnywicher, zastał zachmurzony. Wrota, które prowadziły do Sali Tronowej otworzyły się szeroko. Nie widać było jednak, by ktoś je otwierał. W środku mag zauważył pana zamku oraz jego siostrę. Drzwi już prawie zamknęły się za nim, kiedy wykorzystał czar przemiany i skrzydła wrót, zamiast się zamknąć, dostały nóg i uciekły z tego straszego miejsca.

-No, no, no. – Powiedział Młodowyglądającystarzec, klaszcząc w ręce. – Widzę, że masz odwagę tu przychodzić, mimo że dowiedziałeś się sporo prawdy o naszym rodzie. Wreszcie znalazł się ktoś, kto może się nam przysłużyć.

-Jak to, przysłużyć się? – Zapytał wielce zdziwiony Torimer.

-Widzisz, jesteśmy znużeni tym życiem. – Mag otworzył szerzej oczy. -

Powiedz mi, czy zabiłeś naszego ojca?

-Tak. Dopiero jednak, gdy się domyśliłem, że twój ojciec był wampirem.

-Bardzo ci dziękuję. To był bardzo dobry człowiek. Gdy został wampirem jak my, jako jedyny odmawiał krwi. Pewnego razu wpadł w szal, ponieważ nie mógł zapanować nad głodem. Zaatakował wieśniaków, którzy bawili się na nocnym festynie Kupały. Ci wbili mu kołek. Jedyne, co mogliśmy zrobić to ułożyć ciało w kurhanie. Wiemy, że jesteśmy przeklęci, ale chcemy się zrehabilitować, za te wszystkie ofiary naszego małego kraju.

„Taa, jeden zamek i kilka wsi. Mój maguś patrząc na odbicie zapomniał o całym świecie... Lepiej późno niż wcale” Pomyślało lusterko.

-Postanowiliśmy – kontynuował – że będziemy walczyć. I albo polegniemy albo zaspokoimy głód. Właśnie o tym mówiłem, że możesz się nam przysłużyć. Walczmy.

Mag uformował z lustra kołek i uderzył nim w „Młodego”. Ten zrobił unik, a jego siostra zaatakowała maga pazurami. Torimer uformował sztylet i przeciął jej palce. Meadra zawyła z bólu, a mag to wykorzystał i skierował świeżo uformowany kołek w jej serce.

-Nie! - Krzyknął Młody Starzec i rzucił się za siostrą by ją uratować od śmierci. Chcąc ją odciągnąć od kołka nie zauważył, że Meadra umarła już drugi raz. Gdy spostrzegł się, przewidział reakcję maga, który siłą woli skierował kołek jego w kierunku. I tym razem uniknął ciosu, lecz kolejnego uniku nie było. Kołek niczym osa z żądłem wbił się prosto w serce. Mag przysiadł pod kamienną ścianą i zaczął płakać.

Gdy już wrócili do domu, załamany, przez to że klątwa na nim nadal wisi, Torimer bliski rozbicia lustra usłyszał jego łkanie.

-Czemu płaczesz? – Powiedział to bardzo oschle – Ja mam większy powód do rozpacz. Choć już prawie się z tym pogodziłem. Już na zawsze będę

samotny. – Powiedział nostalgicznie i zamilkł.

-Nie jesteś samotny. Ja byłam przy tobie cały czas. – Powiedziało lustro chcąc jak najlepiej pocieszyć swojego pana.

-Ale co... – Nie dokończył zdania, gdyż nagle go olśniło. Zaniósł się szalonym śmiechem.

-Hej, stary zwariowałeś? – Pyta zdziwione lustro.

-Nic z tych rzeczy. Olśniło mnie. Ty będziesz moją wybranką. – Lustro jeszcze bardziej się zdziwiło, a nawet zaczęło odczuwać strach, myśląc, że mag naprawdę zwariował. Torimer kontynuował. – Nie dość, że wiesz jak wygląda jej odbicie w tobie, to znasz moje myśli o ideale, które ona miałyby spełniać. Pamiętasz chyba, jak Cię zanudzałem nocami o tym, jaka powinna być ma wybranka w przyszłości? Niech się dokona!!! – Gdy to wykrzyczał zaczął rzucać zaklęcia i tworzyć gesty nad lustrem, które zdziwione zaczęło się zmieniać w piękną kobietę. Lecz to, co zobaczył było dla niego zaskoczeniem. Wybranka nie wyglądała tak jak ją widział w lustrze. Wprawdzie miała na sobie białą suknie, ale grosz w grosz wyglądała jak czarna księżna, która go przeklęła.

-Dziękuję za uratowanie, mój nadobny panie – powiedziała biała już księżna i ukłoniła się w pas.

-Czemu...? Ale... – Mag dukał coraz bardziej zmieszany.- Przecież to ty na mnie rzuciłaś klątwę.

-Tak to prawda. Rzuciłam na ciebie klątwę z zazdrości. Chciałam cię mieć tylko dla siebie. Gdy odszedłeś, różnego typu amanci postanowili, że rozpuszczą moje serce i zgłaszali się prosić mnie o rękę. Każdemu odmawiałam, bo moje czarne serce było wciąż w tobie zakochane. Na każdego z nich rzucałam inną klątwę, na domiar złego – były to klątwy dziedziczne. Jeden dostał ogromne uszy, inny długi nos. Najstraszniejsze klątwy dotyczyły pecha osobnika, który

się do mnie zalecał. Od momentu klątwy: stolarz nie trafiał młotkiem w gwoździe tylko za każdym razem w palce; malarz nie odróżniał kolorów; akrobata nie mógł ustać na jednej nodze. W końcu trafiła kosa na kamień. Wśród kandydatów znalazł się akuszer. Przeklęłam go w ten sposób, że każde dziecko, które odbierze w porodzie umrze. Jak prawie każdy przeklęty przeze mnie nie uwierzył, że klątwa jest prawdziwa i działał dalej w zawodzie. Tak się złożyło, że pierwszą osobą, której akuszer udzielał pomocy była czarodziejka światła. Akuszer nic jej nie powiedział o klątwie i dziecko zmarło przy porodzie. Gdy dowiedziała się, że to była klątwa i była ona moją sprawką, zabiła położnika błyskawicą i teleportowała się do mojego zamku.

„Przez ciebie straciłam dziecko – mówiła przepełniona gniewem, ze smutkiem i łzami w oczach. – Dlatego twoja śmierć byłaby zbyt łagodną karą! Zamienię cię, zgodnie z twoim próżnym uczuciem miłości do tego niewydarzonego maga – w lustro, w którym będzie tylko twoje odbicie. Natomiast tak długo jak tam będziesz, wszyscy o tobie zapomną włącznie z tobą. Mężczyźni, którzy będą się w ciebie wpatrywać zatracą się w tobie.”

Jak powiedziała tak też się stało. Razem z twoimi wyobrażeniami, jaką powinnam być i doświadczeniom, jakie z tobą przeżyłam, przemieniłam się po twoich zaklęciach przywrócenia i przemiany w białą księżną, w magini posługującą się wyłącznie dobrą magią.

Po tym długim wywodzie Miramisu Torimer, widząc jak się zmieniła i czując, że nadal go kocha, zakochał się w niej na zabój. Po upływie czasu, który był potrzebny do wystawienia ślubu i wesela w opuszczonym wampirzym zamku, Torimer i Miramisu udali się w podróż poślubną. Przyrzekli sobie, że odczynią wszystkie klątwy, jakie zostały poczynione przez czarną księżną. Błogosławmy ich drogę, by żyli długo i szczęśliwie.

## Pętla

Nigdy nie przykładalem większej uwagi do chmur. Były mi obojętne, niedostępne, aż do teraz. Jestem już dość długo w przestworzach – jako dusza oderwana od swojego ciała.

Myślicie, że umarłem? Nic bardziej błędnego. Pewnie powiecie, że zwariowałem i wymyśliłem sobie chmury. Nie, to też nie. Jeżeli chcecie usłyszeć tę historię... Naprawdę chcecie? Cieszę się. W końcu coś musi się ruszyć, tutaj w niebie, w chmurach.

Pewnego razu...

\*\*\*

Od roku Janek chodził do liceum. Właśnie miał wakacje, które zakończyły pełne udręki pętle sprawdzianów i kartkówki. Nie miał zbyt wielu kolegów, którzy by go szanowali. Zresztą jak w gęstwinie plotek i ploteczek może się znaleźć ktoś, kto będzie go szanował. Sam przyzwyczył się do tego stanu. Nazwał to selfdemencis. Coś jak samodestrukcja. Sama nazwa wydawała mu się dość śmieszna. Wszyscy robili sobie selfie, więc i on, chociaż nie miał aparatu, mógł sobie pozwolić na swoiste, mentalne selfie.

Jeżeli myślicie, że był podobny do dzieci emo, to jesteście w błędzie. Samotność nadrabiał pisaniem wierszy, o których polonistka stwierdziła, że są obłędne. I może miała rację, ale on czuł potrzebę wyżycia się. A gdzie indziej jak nie przy pisaniu, kiedy nikt go nie zaprasza na kosza albo nogę?

Zawsze pragnął mieć nauczyciela, który tak jak w Necronomiconie nauczy go magii. Pragnął tego tak bardzo, że ułożył sygilę, w której przywoływał ducha-nauczyciela. Sygila to swego rodzaju zaklęcie. Po jej ułożeniu i naładowaniu pali się ją i całkowicie zapomina. Janek nie wierzył, że

coś takiego podziała, ale jednak miał nadzieję.

Spotykał się od jakiegoś czasu w kawiarence internetowej z kolegą, który razem z nim grał w sieciówki. Po pewnym czasie, gdy nabrał do niego zaufania, zaprosił go do domu.

- Słyszałeś o czymś takim jak kod biblii? – zaczął Janek, nie wiedząc za bardzo jak popisać się przy gościu.

- Słyszałem. Powiedz mi lepiej dlaczego mnie przywołałeś. – powiedział tajemniczo kolega.

- Jak to przywołałem?

- Sygila... - a może to nie ty? W takim razie marnuję tylko czas. – odwrócił się i zaczął wychodzić.

- A, to... czyli to ty jesteś tym nauczycielem? – Janek był zaskoczony i zdziwiony jednocześnie.

- Param. – oznajmił Paweł kłaniając się cyrkowo. – Tak to ja. Wiedz jednak, że jestem nauczycielem jednocześnie mściwym, który za zdradę każe, ale też za lojalność wynagradza.

W tym momencie Paweł rzucił Jankiem o ścianę, nie dotykając go.

- Masz mnie słuchać, bo inaczej będziesz tego żałował. – powiedział grubym głosem, nienaturalnym dla nastolatka przechodzącego mutację.

Dla Janka ta sytuacja była zarówno przekleństwem jak i błogosławieństwem. Uzyskał nauczyciela, ale stracił, lecz nie całkiem, wolną wolę. Mógł się nie przystosować i ponieść karę albo uczyć się magii tak jak tego pragnął.

- Jaka kara mnie czeka, jeżeli nie będę chciał ci służyć?

- Żadna. Hehe. Zgrywam się. Od dawna nie używałem mocy na tym planie i musiałem się jakoś wyżyć.

Janek odetchnął z ulgą.

- Ale jest jakiś haczyk?

- Ależ jaki haczyk... Pomogłeś mi się dostać do tego planu, a za tę dobroć się zrewanżuję. – w oku kolegi błysnęła iskra.

- Tak w ogóle, kim jesteś?

- Manistofanes do usług.

- Jesteś diabłem?

- Nie, w żadnym wypadku. Jestem anioło-demonem. Takim trochę podupadłym aniołem. Diabelstwa nie znoszę.

W oczach błysnęły mu iskry.

- Jak jest na górze?

- Na jakiej górze... - zawahał się. – Aaa, chodzi ci o niebo? Otóż, nudy na pudy, o wiele bardziej podoba mi się na ziemi. No, na dzisiaj koniec.

- Wracasz? – Janek odruchowo popatrzył na sufit.

- Ależ skąd – idę do kafejki. Jutro się spotkamy, mamy tyle do nauki.

Janek odprowadził Pawła do drzwi. Jak tylko się zamknęły, matka Janka zwróciła mu uwagę, że Paweł się jej nie podoba.

- To jest mój jedyny kolega, z którym teraz będę spędzał więcej czasu. Już nie będę sam. I nie będę gnił w domu.

Zamknął się w pokoju.

\*\*\*

Następnego dnia, gdzieś koło dziesiątej, Janek poszedł do kawiarenki. Paweł już tam był. Poszli na podwórko, gdzie kiedyś był browar. Gdy usiedli przy windzie, Janek zaczął zadawać pytania jakie go dręczyły pół nocy.



- Powiedz mi, jaki jest Bóg? Będąc na górze na pewno go widziałeś.
- Bóg to dziecko, które obserwuje każdego z nas. U każdego z ludzi i nie ludzi ponad głową jest połączenie z tak zwaną kroniką Akaszy, która spisuje wszystkie nasze myśli i uczucia i przesyła je do umysłu Boga. Dzięki czemu ma nad nami kontrolę.
- A wolna wola? – pytał się dalej Janek.
- Człowieku, każdy z was – ludzi, gdy się rodzi, składa się z trzech determinantów: twoja wolna wola, uwarunkowania genetyczne i karma z poprzedniego wcielenia. W połowie jesteś zależny od innych ludzi i karmy. Drugą połowę dał ci Bóg. Chociaż nas kontroluje, daje wam pole do nieograniczonego działania.
- A co z twoim gatunkiem?
- Anioły? Bóg, gdy dostaje o was informacje, wysyła ich do pilnowania i kierowania w drogę, którą sobie wybieriecie.
- A ty? Nie jesteś aniołem? – Pawłowi oczy zasnuły się mgłą, natomiast twarz zasępiła się w smutku. Widać to był temat tabu dla „anioło-demonów”.
- Ja... wybrałem swoją drogę. Ona... jest, jakby ci powiedzieć. Drogą żołądźcia.
- Co?! – Janek prawie nie wybuchnął ze śmiechu. – Jakiego żołądźcia? – spytał rozbawiony.
- Oj nie śmieję się, nie chcesz mnie chyba mieć za wroga, nieprawdaż? – oczy Pawła błysnęły ognistymi kryształkami.
- No dobrze, powiedz mi co to za droga. – Janek spoważniał.
- Widzisz, tak naprawdę niebo składa się z czterech części. Tak jak w kartach. Serce, Dzwonek, Żołądź i Wino. Anioły Serca pilnują, by ludziom nie zabrakło najważniejszej cechy Boga – miłości. W to jeszcze się wpisuje szczęście, błogostan, czy inne takie pierdoły. Dzwonki odpowiadają za pokój, jest to

gwardia ludzkości. Walczą przeciwko Wino. Można powiedzieć, że to te anioły, które szepczą ci w ucho, co masz robić. Takie sumienie. Wino na odwrót, próbują cię przekonać, żebyś robił coś wbrew niemu.

- A droga Żołędzia? – dopytywał się zainteresowany Janek.

- Żołędź jest pomiędzy Winem, a Dzwonkiem, a do Serca wiele mu brakuje. My szerzymy chaos. Uważamy, że chaos jest motorem rozwoju ludzkości. Jak powstaje, to ludzie zaczynają się rozwijać. Bóg nas za to bardzo nie lubi, bo burzymy jego porządek. Lecz bardziej nie lubi Wina. Można więc powiedzieć, że nas jako tako toleruje. To tyle na dzisiaj. Muszę podładować się przy kampie.

- Kafejka? Czy ty nie masz domu?

- He he, mam, na górze. Ale na razie nie chce mi się tam wracać. Mam małą misję do wykonania.

- Jaką misję?

- O tym dowiesz się jutro.

Paweł poszedł do kafejki, a Janek do domu.

\*\*\*

Janek z ochotą wyczekiwał kolejnego spotkania. Matka widząc, że coś jest nie tak, zaczęła coś podejrzewać. W końcu Janek mało sypiał od momentu pierwszego spotkania z Pawłem. Jednak nie miała żadnego dowodu, że Paweł coś miesza w głowie syna. Przecież to był jego pierwszy przyjaciel. Może to normalne, powtarzała sobie w myślach, lecz jednak niepokoiła się o syna.

Gdy Janek dotarł do kafejki, nie było Pawła. Przecież obiecał, obiecał, że będzie na niego czekał. Od administratora dowiedział się, że Paweł nie żyje.

Miał wypadek samochodowy. Serce Janka bardzo zabolalo. Jak można zabić anioła? A może Paweł tylko się z niego naigrywał. Janek kiedyś bardzo często nabierał się na wymyślone historie dawnych kolegów ze szkoły. Może za to naigrywanie z niego i szydzenie z Boga Paweł dostał taką a nie inną karę. Bóg dzieckiem! Phi. Bóg to na pewno starzec, tak jak widać to na obrazach. I nie ma żadnej kontroli przez jakąś zmyśloną „kronikę Akaszy”.

Jan zaczął żyć z dnia na dzień. Wczasy się skończyły, a on zapadł na dziwną depresję. Bił się z myślami, o tym czego się dowiedział i tym co przeżył. W końcu zwykły człowiek nie rzuca tobą o ścianę od tak.

Matka najbardziej się o niego martwiła. Dała mu antydepresanty, po których poczuł się trochę lepiej. W szkole miał ksywę „Emotnik”. Coś jak połączenie Emo z samotnikiem. Nie lubił tego przezwiska, chociaż oddawało ono stan jego duszy. Uczył się w miarę dobrze. Koledzy z klasy stronili od dziwaka, jakim się stał.

Minął rok. Zaczęły się nowe wakacje. „Może jakoś to będzie. Trochę się odprężę i zapomnę o moich dręczycielach.” Myślał Janek.

Postanowił odwiedzić starą kafejkę. Nic się nie zmieniło. Na ścianach dalej były plakaty z gier, a administrator nadal kasował młodych, którzy chcieli się trochę zabawić. Do Janka podszedł chłopak. Był trochę podobny do Pawła, ale to nie był on.

- Cześć Janek. – Zaskoczony Janek cofnął się o dwa kroki.

- Pa... Paweł? – zapytał wytrącony z równowagi.

- Cii... Teraz mam na imię Adrian. Chodźmy na zewnątrz. Pogadamy.

Usiedli w tym samym miejscu co z przed roku. W starej windzie browaru, która dawno już nie działała.

- Jak? W jaki sposób? – dopytywał się Janek.

- Wiesz. Zaliczyłem zgon. To się zdarza, jak takiemu szczeniakowi jak Paweł wleje się trochę za kołnierz. Poszedłem się przejść i jak byłem na ulicy, trach. Śmierć na miejscu. Zgon.

- Jak?

- Pytasz się w jaki sposób mam nowe ciało? Może kiedyś cię tego nauczę. Na razie to tajemnica.

Zapadła chwila milczenia. Janek zaczął się domyślać, że jego nauczyciel nie jest tak dobry, jak o sobie mówił. Lecz uwielbienie dla kogoś, kto wiedział tak wiele i miał taką moc jak Adrian, przyćmiewało mu ostrość osądu.

- Człowieku. Wiedz, że masz ciężko chorego ojca. Chociaż on o tym nie wie, wyrasta mu nowotwór. Na razie jest tygi, ale za kilka miesięcy rozwinie się do większych rozmiarów raka mózgu. Mogę ci pomóc, jak postawisz mi godzinę w kafejce.

- Dlaczego kafejka?

- Bo na górze nie mamy takich „cudów”. Tego co macie na ziemi, nie docenicie. Wiesz jak zazdrościmy wam dotyku materii? Między innymi zszedłem właśnie tu po to, żeby trochę się pobawić.

- Ok. Spróbuję wykombinować te 3 złote.

- Spoko. Czekam na ciebie o dziewiątej rano. Do zobaczenia.

- Cześć. Mam nadzieję, że nie zaliczysz i tym razem zgonu...

Rozeszli się.

\*\*\*

Janek wycygał 3 złote od ojca. Ojciec pracował w hurtowni jako magazynier. Nie była to praca wymagająca zbytniego wysiłku fizycznego, lecz

dość odpowiedzialna. Przez to ojciec Janka palił papierosy, bo jak mówił: „Papieros odpręża i daje wytchnienie”.

O dziewiątej spotkali się tam gdzie zawsze. Janek dał mu pieniądze.

- Masz dwie możliwości. – poważnym głosem oznajmił Manistofanes. – Albo twój ojciec wyzdrowieje całkowicie, ale umrze szybciej, albo będzie żył dłużej, ale z ciągłym bólem głowy.

- Nie tak się umawialiśmy. – spieszył się Janek.

- To ja dyktuję warunki. Wybieraj.

- W porządku. Niech się nie męczy. – po tym stwierdzeniu, Adrian narysował coś na kartce, napisał imię i nazwisko ojca Janka i przyłożył dłoń do tego co narysował, po czym skoncentrował się i po chwili odłożył kartkę.

- Masz, weź. – powiedział zmęczony. – Nikomu tego nie pokazuj, bo inaczej skrócisz życie ojca. Idź teraz do domu. Ja odpocznę i pogram trochę w kafejce.

\*\*\*

Następnego dnia Adrian zaprowadził go nad rzekę.

- Nauczę cię teraz podłączania się do żywiołów.

Gdy usiedli na brzegu rzeki, Adrian kazał zdjąć mu buty i skarpety i włożyć nogi do wody. Janek miał zamknąć oczy i skoncentrować się. Po pewnym czasie pod powiekami Janka zaczął pojawiać się obraz zwierzęcia. Gwałtownie otworzył oczy i spytał się:

- Co to jest? Co to było?

- To wydra – odparł spokojnie Adrian. – Wymierający gatunek. Skoro umiesz się już podłączać, trenuj to na innych żywiołach. Drzewo, metal, rośliny, powietrze. Zrób sobie zeszyt na wizje jakie widziałeś. Jeżeli chcesz szybko

posiąść moc, to chodź, powiem ci coś na ucho.

Janek słuchał wytycznych anioło-demonia i z każdym słowem w jego głowie pojawiały się różne płaskie figury geometryczne, a razem z nimi sylaby, jakie powinny być rysowane na narożnikach.

- Podłączaj się do tych figur, to gwarantuję ci, że szybko posiądziesz moc. Notuj w zeszycie. No dość na dzisiaj. Nie musisz mi płacić tym razem. Do następnego razu. Będę miał dla ciebie niespodziankę. A teraz idź i ucz się.

\*\*\*

Matka coraz gorzej się czuła, tak samo siostra, do której Janek nie pałał sympatią. Ojciec zaś promieniał zdrowiem, co bardzo ucieszyło Janka. To znaczy, że magia Manistofanesa działała. Tym żywiej zabierał się do nauki. Na początku zaczął od drzew, później przeszedł do bardziej ulotnego żywiołu – powietrza. Widział masę zwierząt, które pozostawiły po sobie eteryczne ślady. By nie zwracać na siebie uwagi, podłączał się w odosobnionych miejscach. Rzeka, mały lasek, polna droga. Po żywiołach zaczął podłączać się do figur jakie zakodował mu Manistofanes. Tym razem, zamiast zwierząt, pojawiały się różne kształty. Większość z nich bazowała na trójkącie, niektóre można byłoby nazwać, że są zdualizowane, a jeszcze inne miały więcej wierzchołków. Były zaokrąglone, bądź wpisane w koło.

Matka zauważyła raz, jak używał swojego zeszytu. Próbowała mu go wyrwać, ale jakaś siła nie pozwoliła jej na to.

- Co robisz? CO DO CHOLERY ROBISZ? Co się z tobą stało? Stałeś się tajemniczy i jeszcze bardziej dziwny niż kiedyś byłeś. – wyraźnie się zdenerwowała. – To przez niego, prawda? On wrócił.

- Nie wiem o czym mówisz. Zostaw mnie. – wyprosił ją i zamknął drzwi na

klucz.

\*\*\*

Po dwóch tygodniach nauki miał dość samotnego zagłębiania się w arkany magii. I chciał w końcu dowiedzieć się, co to za niespodzianka czekała na niego od Manistofanesa. Gdy spotkali się, Adrian miał posępną minę. Janek wylewnie go powitał, ale coś nie grało.

- Co się stało? – spytał się.

- Nie podoba mi się twoja matka.

- Że co?! – Janek poruszył się. – Co zamierzasz zrobić?

- Jak to co. Zabiję ją. Jak każdego, który mi przeszkadza. Usunę ją z twojego życia. Zniknie jak pył na mojej drodze.

- NIE MA MOWY! – Janek zdecydowanie zaprotestował.

- A właśnie, że jest. – Adrian zapalił zapałkę. – Jeżeli nie podasz dobrego powodu, dla którego ma ona żyć, zanim ta zapałka się dopali, ona umrze.

Janek nie zastanawiał się długo. Powiedział, że matka go kocha i nie chciałaby jego krzywdy. Widocznie to nie było to, na co oczekiwał Adrian, gdyż zapałka zaczęła palić się szybciej.

- Masz jeszcze dwie szanse.

Tym razem Janek powiedział, że on kocha matkę i nie mógłby bez niej żyć.

- Kolejny błąd.

Gdy zapałka powoli się dopalała, Janek wypalił.

- Gdy ona umrze, znajdę się pod mostem. Czy tego chcesz?

- A ojciec? – zaskoczyło, Janek wiedział, że teraz ma szansę wydostać się z tej kabały.

- Ojciec niedługo umrze, sam mi mówiłeś.

- Dobrze. Uratowałeś ją. – powiedział Adrian, po czym zgasił zapalnik. Nie dopaliła się do końca.

\*\*\*

Janek zaczął palić papierosy w piętnastym roku życia. Parę razy próbował się pozbyć nałogu, ale mu to nie wychodziło. Adrian też palił chociaż był młodszy od niego. I właśnie on wyszedł z inicjatywą, by za drobną opłatą trzech złotych pomóc Jankowi.

Janek zdobył pieniądze i popędził do kafejki.

Adrian poszukał odosobnionego miejsca i zaczął działać.

- Daj mi dłonie. Odeszła twoją nikotynę. Masz okazję się tego nauczyć poprzez obserwację.

Janek podał mu dłonie. Na początku miał dziwne uczucie, jakby Adrian podłączał się małymi wypustkami do jego rąk. Zamknął oczy. Zobaczył dwie lwopodobne paszcze, które ziały ogniem. Sama operacja zajęła około trzech minut. Gdy połączenie zostało zerwane, Janek nie czuł już żadnego pociągu do nikotyny.

- Niezła magia, mistrzu. Myślisz, że będę mógł to powtórzyć z kimś innym?

- Jeżeli uważałeś, to tak.

Janek wrócił do domu. Matki nie było już od kilku dni. Była w sanatorium. Zamknął się w pokoju i zaczął ćwiczyć podłączenie się do symboli.



\*\*\*

Dwa dni później Adrian zadzwonił po Janka. Mieli zrobić coś naprawdę ważnego. Manistofanes stał się bardziej tajemniczy niż wcześniej. Adrian do tej pory wybierał miejsca, w które, choć odosobnione, każdy mógł wkroczyć, jednak jego moc na to nie pozwalała i odpychał ich, by im nie przeszkadzano. I tym razem tak było. Poszli nad rzekę i gdy nikt nie nadchodził, Adrian spytał się Janka.

- Czy chciałbyś stać się aniołem?

Janek bez zastanowienia odpowiedział, że tak.

- W takim razie, by przemiana nastąpiła musisz mi całkowicie zawierzyć. Usiądź wygodnie i zrelaksuj się. – Po tych słowach Manistofanes zaczął coś mruzczyć, a Janek powoli zapadał w pustkę...

\*\*\*

W ten sposób znalazłem się tutaj, na górze. I nie jestem w stu procentach zadowolony. Chociaż mogę latać po całym świecie, wszystko zwiedzać, to nic nie czuję. Tutaj są tylko emocje i myśli.

Najgorsze jest to, że ktoś się panoszy w moim ciele. Teraz wiecie co się stało. Jakiś duch mnie przejął. No cóż. Polak mądry po szkodzie.

Zobaczę co się ze mną dzieje, bo ostatnio byłem w Paryżu i...

\*\*\*

...obudził się w zimnej celi. Przeżył szok. Gdy przeglądnął się w lustrze, zobaczył siwiejącego czterdziestolatka. Usiadł na pryczy z chęcią popełnienia samobójstwa. Jednak wokół niego nie było niczego, co mogłoby mu w tym pomóc.

Czy znajdzie siłę, żeby żyć dalej?

## Spowiedź

Na imię mam D4IV114N i mam 32 lata, służę robotom od dwudziestu lat w zakładzie produkującym części zamienne.

Ostatnim razem na Spowiedzi byłem wczoraj o godzinie dwudziestej trzeciej, Święty Spowiedniku. Od tamtego czasu spałem przez siedem i pół godziny, obudziłem się około godziny ósmej. Przepraszam Święty Spowiedniku, ja sam się nie obudziłem, obudził mnie budzik. Święty Spowiedniku bardzo przepraszam za kłamstwo, to się więcej nie powtórzy. Oczywiście przepraszam także, że obiecuję, nie znając podstaw, nie znając przyszłości, ponieważ w każdej chwili mogę skłamać. Dla tego przepraszam i za to, Święty Spowiedniku.

Człowiek jest grzeszny, wiem o tym Święty Spowiedniku, każdy człowiek jest egoistą, tak mówi podstawowa doktryna naszej religii i ona jest nieomylna.

Jak mówiłem, obudził mnie budzik i zjadłem śniadanie, takie śniadanie jakie zazwyczaj każdy dobry wotanik musi zjeść, by się dobrze czuć w następnym dniu, czyli tabletkę jajka i witaminowe tabletki o smaku szpinaku oraz herbatę w proszku.

Ależ oczywiście nie zapomniałem co to za dzień, Święty Spowiedniku. To dzień Święty jak każdy inny dzień, ale jednocześnie oryginalny, tak jak każdy inny dzień Święty. Dla wotanika ten dzień to podstawa dobrego życia.

Co robiłem po śniadaniu – Święty Spowiedniku? Tak jak zawsze wsiadłem do samoobsługującego się samochodu, który mnie zawiózł w miejsce pracy. Ten pojazd ma naprawdę wiele dobrych funkcji. Można słuchać chóry wotańskie oraz chorały wektoriańskie. Można pooglądać kanały traktujące o pobożności Najwyższego Świętego Spowiednika, ojca wszystkich ludzi oraz

Spowiedników. Jadąc do pracy można także pooglądać Stwórcze dzieła Wielkiego Stwórcy, Boga jedynej słusznej religii – Wotana, który darował nam swoje sny, z których powstaliśmy. Za każdym razem można się zatrzymać przed wotującymi księżmi i dać datek na Wotański Kościół Sprawiedliwości Połączonej Ludzkości.

Święty Spowiedniku dałem na datki dzisiaj równowartość połowy mojego dziennego zarobku. Wstydzę się, że nie dałem więcej. Proszę odpuść mi ten grzech, Święty Spowiedniku. Proszę mi też wybaczyć, że widziałem niedoskonałość doskonałej infrastruktury miejskiej Wotańskiego Połączonego Państwa Ludzkości, Święty Spowiedniku, widziałem coś niewiarygodnego i sam fakt tego co widziałem poddaje w wątpliwość to co widziałem.

Widziałem natomiast wypadek. Ja... Święty Spowiedniku... Bardzo przepraszam i proszę o sprawiedliwy osąd, czyli najwyższą pokutę. Święty Spowiedniku dziękuję. Zrobię jak każesz, następnym razem jak będę jechał do pracy to zawiążę oczy opaską. Zdam się na twój osąd i będę jedynie słuchał radia Świętego Wotana. Dojechałem do pracy około godziny wpół do dziewiątej. Oj Przepraszam Święty Spowiedniku. Nie ja dojechałem, tylko samoobsługujący się samochód mnie tam dowiózł. Za to też proszę o pokutę.

Dobrze, jeszcze jeden taki raz i mam zamilknąć na dwie godziny, okres kiedy mam milczeć mam wybrać sam. Dobrze Święty Spowiedniku. Wszedłem do budynku pracy, a dokładnie do jednej z hal fabrycznych, w której wyrabiana jest jedna z części samoobsługującego się samochodu. Każdy z pracowników wyrabia ręcznie jedną część, którą później następni pracownicy składają w większą część, by inni pracownicy w innych halach produkcyjnych składali je w coraz większe części, aż do gotowego wyrobu. Dziękuję ci za to Święty Spowiedniku, że wszyscy ludzie mają pracę i wszystko jest tak bardzo ułożone. Jestem taki zadowolony. Normalnie uściskałbym Waszej Świętobliwości rękę, gdybym nie wiedział, że Wasza Świętobliwość może

jedynie słuchać, bo nie ma rąk, no i czasami odpowiadać za pomocą głośnika.

Mam karę?! Za co? Oj przepraszam, to się więcej nie powtórzy, już nie powiem, że wiem, że rozmawiam z robotem. Mam następnym razem milczeć przez cztery godziny? Dobrze, Święty Spowiedniku.

Praca w hali produkcyjnej przebiegała bez zarzutów. Oczywiście inni byli zadowoleni z pracy tak jak ja, również tak jak ja wykonywali tą pracę bez żadnego sprzeciwu. Był jeden tylko wypadek – jedynie z winy człowieka – gdy mój kolega wpadł do kazi z metalem. Skaził cały metal przeznaczony na produkcję części Waszych Świętobliwości. Dlatego że zbliżył się tak bardzo blisko boskości Wotana, nie zostanie pochowany, a skażony metal zamieni się na łyżeczki i widelce, broń wielki Wotanie noże.

Gdyby człowiek trzymał nóż to mógłby się skaleczy, a to byłoby sprzeczne z drugą doktryną naszego kościoła – człowiek nie może zajmować się tym co może mu zaszkodzić. Wszystko jest tak skonstruowane, że nie jest możliwy żaden wypadek. Chyba że z winy pracownika. Na obiad jadłem syntetyczne warzywa oraz genetycznie zmodyfikowane mięso półkozła – półbyka. W dzisiejszych czasach wszystko jest dzisiaj mieszane z DNA kozła. Wymaga to dekada Kozła, ustanowiona przez Wielkiego Świętego Spowiednika. Oprócz tego była sałatka z marchwi w tablecie.

Mięso na obiad to święto. Oczywiście każdy dzień jest świętym dniem wg kalendarza Wotańskiego. A jak mówi trzecia doktryna – należy dzień święty uświęcać swoją pracą. A że dzień jest codziennie święty, pracować należy codziennie. Jedynym zwolnieniem z pracy jest sobota, która jest święta podwójnie. Wtedy Wotan rozdaje swoje datki biednym, co się odbywa w pełnej tajemnicy, ponieważ nikt nie jest oficjalnie biedny. Inni – bogaci ludzie – mają dzień wolny od pracy oraz nie otrzymują żadnych wynagrodzeń.

Gdy zjadłem obiad przeniosłem się do hali produkcyjnej, gdzie spędziłem dzień do wyjścia z pracy i udania się tutaj – Wielkiej Spowiedni

Kościła Wotańskiego, gdzie opowiedziałem wszystko o swoim dniu. Dziękuję Ci Święty Spowiedniku – za to że odpuszczasz mi wszystkie grzechy. Oddalam się teraz uniżenie. Będę posłuszny i będę służył. Amen.

## Wotańskie Połączone Państwo Ludzkości

Nikt poza robotami nie wszedł do Wielkiej Spowiedni. Bardziej zaawansowane SI mają tu największy dostęp i mogą dochodzić do ostatniego piętra, a Najwyższy Spowiednik miasta ma dostęp do Kopuły Najwyższego Spowiednika. Spowiedni jest wiele, a miasto jest tak naprawdę jedno. Wszyscy wierni docierają tutaj, lecz nie wchodzi. Ludzie, którzy się spowiadają klękają przed robotami, które są zaprogramowane na głos. A że od dziecka wpajane są dogmaty i to jak należy rozmawiać ze spowiednikiem.

W czasie deszczu otwierane są wielkie automatyczne parasole, nad kolejkami wszystkich tych, którzy skończyli pracę. Część ludzi kończy pracę o dwudziestej drugiej, część o dwudziestej pierwszej, część o ósmej wieczorem. Za to wcześniej wstają i wcześniej chodzą do pracy. Praca w Wotańskim Połączonym Państwie Ludzkości trwa czternaście godzin z jednogodzinną przerwą na obiad i swoje sprawy dzienne. Gdy chce się coś załatwić ważniejszego, co musi trwać dłużej, trzeba zarwać nockę i zająć się nimi w tak zwanym trybie nocnym jako sprawy nocne.

Prawie wszystkie sprawy można załatwić automatycznie w Wielkiej Spowiedni Kościła Wotańskiego. Gdy jest się już przy Świętym Spowiedniku można mu przedłożyć wszystkie sprawy i wnioski, a dokumenty przesyłane są pocztą elektroniczną do jedyne go maila przyporządkowanego od kołyski danemu człowiekowi. Na początku hasło maila zna jeden z rodziców, lecz po 12 roku życia – kiedy dziecko staje się pełnoprawnym pracownikiem dla dobra ogółu, może zmienić swoje hasło poprzez złożony wniosek w Wielkiej

Spowiedni Kościoła Wotańskiego. Dzieci od 6 roku życia przysposabia się do zawodu. Na początku są to nauka liczb i liter, następnie dzieci wybierają poprzez obrazki gdzie się będą chciały najlepiej realizować. Po wyborze pracy są one przygotowywane przez kolejne 5 lat.

Wszystko oprócz ustalonych prac ludzi jest zmechanizowane. Infrastruktura działa automatycznie, dlatego w zasadzie nie ma wypadków. Czasami jest jakaś usterka, ale dlatego że wszystko jest doskonałe – zobaczenie tego zostało uznane za grzech przez Wielkiego Spowiednika. Grzechem jest wszystko oprócz ustalonego dnia święta. Co należy robić, jak należy się zachowywać, jak żyć – to wszystko jest ustalone w codziennym cyklu życia ludzi dwudziestego trzeciego wieku.

A mi człowiekowi o imieniu D4IVII4N, który ma o czterdzieści więcej ilorazu inteligencji niż zwykli ludzie, przyszło żyć w tym świecie. Spowiedź była oczywiście moja, a kolega, który wskoczył do kotła nie mógł wytrzymać presji jaką stworzyłem opowiadając mu w jakim życiu żyje. Otworzyły mu się oczy, więc popełnił samobójstwo. Prawda jest taka, że szukam kogoś, kto mógłby ze mną przejść przez mur. Wiem, że gdzieś jest mur. Mur musi być, przecież miasto nie może być nieskończone.

Coś musi wytwarzać powietrze poza murem. Z moich badań poza pracą, to coś kiedyś się nazywało roślinami. Rośliny w mieście praktycznie nie występowały. Były jedynie jakieś trawy i chwasty w nieużywanych częściach dystryktów, ale odpowiednie służby szybko się ich pozbywały. Wystarczył mały donos jakiegoś robola i trawki nie było.

O ile wiem, jeszcze w XXI wieku – przed mechanizacją – krowy karmiono tą „trawą”. Teraz stosuje się zamiast niej jakieś syntetyczne zamienniki. Ludzi już nie obchodzi co było za murem, zostali całkowicie zindoktrynowani przez maszyny, o czym świadczył ostatni „wypadek”. Pozostała ucieczka samemu.

## Spowiedź od wewnątrz

Ostatnio spowiadał się u mnie młody człowiek. Był bardzo poddany Prawom Wotańskiego Kościoła. Jedno co mnie zaniepokoiło, było to, że to był jeden – jedyny przypadek człowieka tak bardzo zinwigilizowanego. Możliwe, że trzeba go zbadać. To z jakim hołdem składał zeznania wydało mi się bardzo podejrzane. Może rośnie właśnie nowy gatunek człowieka – człowiek Homo No Sapiens.

Zazwyczaj ludzie są zniechęceni do praw, pracy albo do samego Wotańskiego Kościoła i trzeba ich ustawiać poprzez zakazy, doktryny, homilie oraz pokuty. Czasami da się im trochę marchewki, by byli jako tako zadowoleni. Poza tym ludzie się nie buntują. Wota dzięki którym nasz kościół istnieje to pic na wodę. Dorabiamy kasę jeśli zabraknie, a ludziom przekazujemy tylko tyle, żeby starczyło na życie i tanie rozrywki.

Jednak to im jesteśmy wdzięczni za to, że nas stworzyli. Potrzebują naszej ochrony, bo są jak dzieci w piaskownicy, w której przez przypadek pies nasrał. Monitorujemy ich przecież dla ich bezpieczeństwa. A propos bezpieczeństwa, dzieciak wspominał o jakimś wypadku przy pracy. Nie wierzę, żeby SI nawaliły i człowiek spadł sam przez się. To musiało być coś innego. Ale co. To też trzeba będzie sprawdzić. Muszę wysłać Straż Śledczą, by obserwowała chłopaka i zbadała wydarzenie z kaźnią metalu za pomocą nagrań z kamer.



## Szpiedzy

Jak Wielki Spowiednik zdecydował tak zrobił. Tak się mówi w organach śledczych.

My jako jednostka ścigająca przestępców lub podejrzany element, jesteśmy zaprogramowani tak, jakbyśmy przeczytali wszystkie kryminały oraz oglądali i wyciągnęli wnioski ze wszystkich seriali sensacyjnych. Dzisiaj mamy obserwować jednostkę zwaną D4IV114N oraz przeglądać kamery z wypadku w kaźni metalicznej. Za jednostką została wysłana Mucha elektroniczna FLY453758c, a jeżeli ona by zawiodła i została odkryta, zostało wysłanych kilka mikrokamer w pająkach produkujących sztuczne pajęczyny. Gdyby to zawiodło, a jednostka D4IV114N okazałaby się pedantem nie lubiący robaków wszelkiego typu i tępiący je, krążyłaby nad nim chmura z mikrorobotów w odległości 40 metrów wysokości.

Oczywiście nasze Wszechwidzące Oko Organów Śledczych podawałaby informacje z kamer do Głównego Śledczego, który jest połączony ze wszystkimi Śledczymi. Przetwarzanie informacji trwałoby w tym wypadku mikrosekundę na sekundę życia. Wszelkie FLY są ze sobą połączone, tak jak wszelkie SPIDERS są ze sobą połączone. Gdy zginą, są zastępowane przez inne, wytwarzane w halach fabrycznych przez ludzi, nie zdających sobie nawet sprawy nad czym pracują.

O właśnie – pierwsze informacje już dotarły. Jak się okazało, zanim jednostka D3VI14N popełniła samobójstwo – o dziwo zabiła się sama i nie był to wypadek. Jednostka ta po prostu wskoczyła do kaźni z metalem. Nie wiadomo czy to był bunt, czy jednostka ta znudziła się życiem. Należy przestudiować jej życie wstecz. Natomiast D4IV114N niczym się nie wyróżnia porównując jej życie do innych jednostek. Właśnie doszły informacje na temat D3VI14N. Okazało się że komunikowała się z podejrzaną jednostką zanim popełniła

samobójstwo. Wysłuchajmy nagrań:

- ... Mur ... tam ... inne życie ... rośliny.

- ... Niem... a oni? ... Oszuk...

- Od trzech wieków...

- Nie wie... idź się ... nigdy nie jest...

- Skądś muszą... powietrze.

- Widziałeś te...?

- Zobacz w siódmym... na dzie....

Okazało się, że zanim usunęliśmy drzewko, jednostka D3V14N zobaczyła je i z tego powodu uwierzyła jednostce D4IV114N i zabiła się. Należy odseparować jednostkę D4IV114N w resocjalizatorze. Wysyłamy natychmiast wiadomość do Policyjnego Biura Społecznego, o zatrzymaniu i karze jednostki D4IV114N.

## Zatrzymanie

Tego dnia wracałem z pracy z poczuciem winy, że mój kumpel zabił się przeze mnie. Nagle nie skręciłem w tą samą co zawsze ulicę, chociaż na ekranie było podane, że dalej jadę do domu. Poczułem nagłe ukłucie w boku. Zmorzyła mnie wielka senność.

Do dziś nie pamiętam czy to był sen. Rośliny – co to w ogóle jest. I skąd się wzięło to słowo. Chyba miałem halucynacje. Przemęczenie. Za każdym razem, gdy myślę o poprzednim dniu, boli mnie głowa i mam nie jasne odczucia, że kiedyś znałem kogoś kto się przeze mnie zabił. Ale nie ma nikogo takiego, którego bym zapamiętał. Muszę się wypowiadać. Na pewno mi przejdzie po spowiedzi.

## Ostatnia spowiedź

Na imię mam D4I V114N i mam 32 lata, służę robotom od dwudziestu lat w zakładzie produkującym części zamienne.

Nie wiem co się ze mną dzieje, Święty Spowiedniku. Moja pamięć jest nadszarpnięta. Dzisiaj mamy 17 dzień Wężownika, a mi się zdaje, że spowiadałem się nie tak jak każdy pobożny wotanic – codziennie, ale dwa dni temu.

Ponadto Święty Spowiedniku mam dziwne wspomnienia. Mój żal jest ciągle włączony. Żal, że kogoś zabiłem, ale ja nie zabiłem nikogo – prawda Święty Spowiedniku? Do mojej głowy dochodzą dziwne słowa i zaburzają mi myślenie zdrowego wotanika. Słowa takie jak – rośliny, mur, zewnątrz. Przecież nie ma takich rzeczy. Wszyscy wiedzą, że powietrze jest produkowane przez Wielką Halę Tlenu, a zewnątrz nie ma, ponieważ nasze Święte Państwo zajmuje całą przestrzeń jaka jest.

Mur. Coś takiego nie istnieje. Święty Spowiedniku zaczynam się zastanawiać nad przeszłością. I nie taką przeszłością typu – co było dwa dni temu, ale co było kilka wieków temu. Jak zaczęła się ta dominacja... Przepraszam Święty Spowiedniku. Ale właśnie takie słowo włączyło się, opisując terażniejszość. Ciągle myślę że kiedyś było lepiej i że to my, ludzie, panowaliśmy nad robotami. Boże, Wotanie drogi, co się ze mną dzieje; skąd u mnie takie słownictwo.

Już popełniłem tyle grzechów, że kara będzie sroga. Ale ja się tej karze podporządkuję. Niech się dzieje wola boska, ona zawsze się o nas troska. Słucham Święty Spowiedniku? Mam odejść i wszystkie moje grzechy są odpuszczone? Oj dziękuję. Tak bardzo się cieszę. Odchodzę, przyjdę jak zawsze jutro o tej samej porze.

Wytyczne: A75I wykonać na D4IVII4N

Opuszczając w dobrym nastroju Wielką Spowiednię, nasz bohater nie spodziewał się czegoś niemożliwego, niemożliwego w infrastrukturze miejskiej. Pasy nie chciały się zapiąć, ot mała usterka. Nagle samoobsługujący się samochód skręcił i wylądował na niezamieszkanym budynku w dystrykcie siódmym, nie zamieszkanym przez nikogo. Poduszka powietrzna się nie otworzyła, ot inna drobna usterka. I tak D4IVII4N stracił życie w niemożliwym wypadku w tym wspaniałym świecie.

## Winda

Wieża trzecia.

Jechałaś kiedyś windą? – z nimi jest dziwnie – kiedy winda wjeżdża na górę czujemy się ciężcy, gdy winda zjeżdża na dół, odwrotnie – letcy.

I co z tego? Przecież to banał.

A właśnie, że winda jest odwzorowaniem życia człowieka. Gdy pniemy się w górę odczuwamy ciężar w postaci cierpienia i bólu porażek. Ale to cierpienie nas uczy, jest prawdą.

Jaką prawdą? Cierpienie to cierpienie, a prawda...

Co prawda?

Prawd jest wiele – ilu ludzi tyle prawd. Ale powróćmy do tematu

O czym to ja? A, o windzie. Gdy spadamy z drabiny życia robimy to szybko. I choć możesz nie czuć bólu podczas spadania, uderzenie o ziemię wywoła wielkie cierpienie. Możesz się podnieść sam albo potrzebujesz pomocnej dłoni. Do czasu, gdy ktoś z wieży zjedzie i ci nie pomoże paprasz się w gównie, które sam wysrałeś. Jedno jest korzystne, gdy jesteś na dnie – nie możesz już spaść i możliwy jest ruch tylko w górę. Cierpienie motywuje, by go nie odczuwać. A gdzie go najmniej odczuwasz?

Na szczycie. Jednak jak będę na szczycie to stracę cel.

I wtedy zaczniesz spadać. No chyba, że zyskasz inny cel i wyciągniesz pomocną dłoń komuś, kto jak ty kiedyś spadł na dno.

Wieża druga.

Każdy mój ból jest tysiącokrotnie większy, gdyż jadę tą windą sam. Dla innych po prostu nie istnieję. Ból jest wielki, ból jest wielki, ból jest wielki. Czy jest ktoś kto jest? Winda rusza raz w górę raz w dół. Nie potrafię się zdecydować na jakim piętrze wysiąść. Na Ziemi, gdzie razem występują dobre i złe rzeczy, gdzie rzucane są perły przed wieprze, a gówno miesza się z watą cukrową? Czy może wypalić się o światło Boga i stać się jednym z jego posłańców. Chociaż do tej pory żadnego z nich nie widziałem, ale również nie widziałem ludzi, którzy postępują według tego co wierzą. Może gdzieś kiedyś jest taka osoba – persona non grata – jak ja. Nie to, że nie lubię ludzi – nawet ich kocham – no przecież zaufanie stawiam zawsze na pierwszym miejscu do jasnej cholery. Tyle ludzi wsiadało i wysiadało z mojej windy, każdy w jakiś sposób mnie ranił.

Wchodził, ranił, wychodził. Veni, vidi, vici. Przybyłem zobaczyłem zwyciężyłem. Jak Juliusz Cezar. Tylko, że on dopiero na końcu przegrał, a ja przegrywam cały czas. Cip, cip Brutusie może chcesz nóż albo widelec?

Wieża pierwsza.

Ósma zero cztery.

Do windy wchodzi Polityk. On jak jedzie windą do parlamentu zawsze się cofa o kilka pięter. No cóż taka praca. Kłamstwa, lobbying, forsa, łapówki - to podstawa w polityce. I ten Polityk się cofa właśnie dla tego, że jest politykiem.

Ósma trzynaście

To Ksiądz się spieszy wykonać mszę na wpół do dziewiątej. Ten jedzie parę pięter wyżej. Gdy już jest na mszy powinien sobie założyć coś w rodzaju noktowizora wiary. Ja jako duch mogę popatrzeć oczyma - są jak taki noktowizor. No i oczywiście ma taki noktowizor Bóg (jeżeli istnieje i jeżeli tak to jak?). Oto co pokazuje: piętnaście ludzi w kościele zaopatrzonym na trzysta miejsc, w tym pięciu wątpiących, pięciu wierzących i pięciu grzeszników. Co ciekawe do komunii przychodzą jako jedyni grzesznicy. Wątpiący olali, a wierzący... Cóż, chyba ich gryzło sumienie - a spowiednika nie było, bo nawet w kościele obcinają kadry.

Ósma trzydzieści dwa

Do windy wchodzi Dziewczyna z wózkiem. Dziecko - błąd w sztuce zabezpieczania się przed ciążą. Chłopak zwiął. Ona zaś za każdym razem, gdy wchodziła do windy bardzo się wahała na którym piętrze wysiąść. Naciskała najpierw parter; po chwili czekania na parterze jechała na górę. I tak codziennie.

## Ósma trzydzieści dziewięć

Do windy wchodzi Ateista. Co dziwne, zamiast w dół jedzie na górę. Wsiada zazwyczaj na piętrze „intelektualnej wrzawy”. Nie wiem czemu w tym budynku intelekt jest tak wysoko ceniony.

## Ósma czterdzieści cztery

Wchodzi Narkoman. Oczy rozszerzone, biegające po przyciskach od windy od najniższego do najwyższego. Spektrum wyboru – olbrzymie. Wreszcie wybiera ostatnie piętro – haj. Wychodzi z windy, ale zanim drzwi zdołają się zatrzasnąć wchodzi z powrotem. I wybiera parter. To samo tyczy się Alkoholika(ósma czterdzieści pięć) i innych nałogowców. Chociaż spektrum jest mniejsze.

## Ósma pięćdziesiąt sześć

Najciekawszym człowiekiem jest Schizofrenik. Wchodzi do windy i o dziwo – widzi mnie. Nawet zamieni kilka słów. On jest na tyle dziwny, że nie wie sam jakie piętro wybrać. Prosi mnie, żebym zdecydował za mnie, a ja mu odpowiadam, że to nie moje kompetencje. Zaczyna panikować, by na końcu wybrać czwarte piętro. Izolatkę. „Tam – mówi do mnie – jest najspokojniej.”

Tylko że ludzie, którzy jeżdżą moją windą są ślepi. Przecież to wszystko dawno szlag trafił. Ja jestem tego dowodem. Najbardziej tłoczno jest w godzinie „zero”. Wtedy wszyscy ładują się do windy i naciskają parter. Wtedy ja wyskakuję z niej i biegnę po schodach naciskając na każdym piętrze przycisk, żeby się



winda zatrzymała. W ten sposób winda nie ma prawa zjechać na dół przed zawaleniem się budynku. Po godzinie „zero” wszystko wraca do normalności, a Polityk zjeżdża windą na dolne piętra...